Wpisano do ... pod p...
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 1. II 19 69

Dziś w numerze: ● **Hollywood oczyma Anglika** ● **Kobieta o złej sławie** ● **Niemcy i Polacy** ● **Michael Cacoyannis wreszcie przemówił** ● **Antyfonia contra fonii** ● **Wiersze** ● **Recenzje** ● **Felietony**

odgłosu

MIEJSKOWA ODZNAKA M. ŁODZI

5 (535)
4. II. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

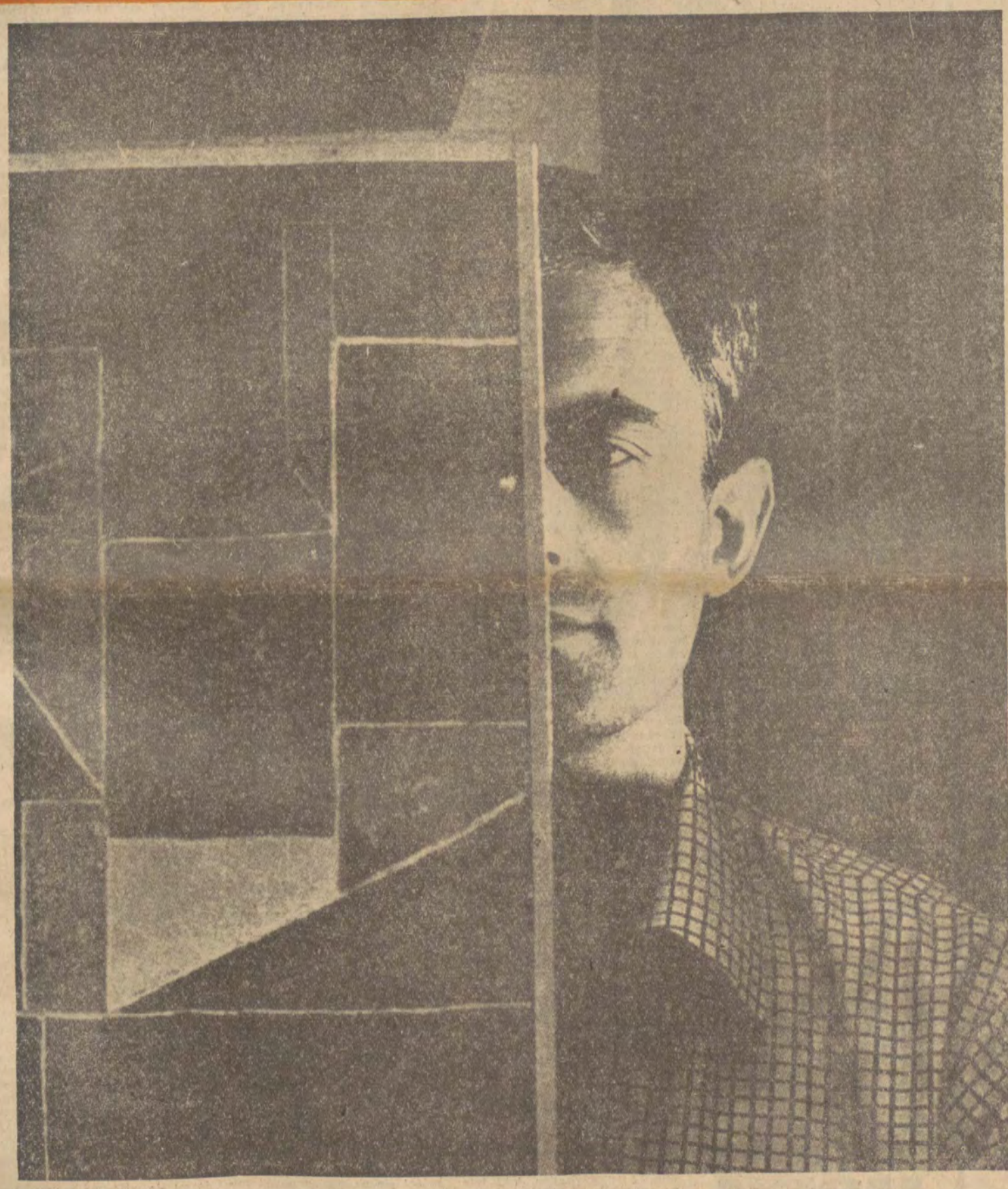

Fot. Horváth Péter.

MIECZYSŁAW BANDURKA

W 30 rocznicę strajku nauczycieli

Sytuacja polityczna i społeczna, jaka zapanowała w Polsce w latach trzydziestych okresu międzywojennego spowodowała, iż Związek Nauczycielstwa Polskiego sympatyzował i współdziałał z lewicowymi ugrupowaniami politycznymi. Owczesne władze państwowe dość często występowały z dowodami, świadczącymi o lewicowym charakterze działalności ZNP. Wysuwano je zarówno w stosunku do Zarządu Głównego, jak też do podległych mu ogniw związkowych.

Działacze związkowi ZNP dość licznie angażowali się do różnych akcji politycznych, nie zawsze idących po myśli ówczesnych władz rządowych. Reszty dopełniły publikacje „Płomyka" i „Teatru w szkole", gdzie nie ukrywano sympatii lewicowych, a w „Płomyku" opublikowano wiadomości z życia przedszkoli w ZSRR. Publikacja ta stała się nawet przedmiotem rozważań członków rządu.

W rezultacie, w dniu 25 września 1937 r. Starosta Grodzki Śródmiejsko-Warszawski T. Tarnowski w oparciu o przepisy o stowarzyszeniach zawiesił działalnosc Związku Nauczycielstwa Polskiego, wysuwając zarzut, że **„działalność stowarzyszenia wykracza przeciwko ustalonym dla stowarzyszenia zakresowi i sposobu działania, co zostało stwierdzone w wyniku lustracji przeprowadzonej w dniu 28 września 1937 r."**.

W motywach swej decyzji starosta nodał ponadto do wiadomości rzekome przekroczenia finansowe oraz organizacyjne.

W celu tymczasowego zabezpieczenia majątku związku, jak również dla prowadzenia spraw majątkowych, wyznaczono kuratora. Został nim Paweł Musioł nauczyciel z Myślenic. Fakt ten natychmiast wywołał duże poruszenie wśród członków związku.

W trzy dni po zawieszeniu działalności Zarządu Głównego i wyznaczeniu kuratora, Zarząd Główny wydał deklarację, w której m. in: czytamy:

„Przez 31 lat Związek Nauczycielstwa Polskiego służył Polsce — społeczeństwu — swym członkom... Przez 31 lat prowadził działalność zmierzającą do zapewnienia nauczycielstwu należnej pozycji społecznej, ekonomicznej i służbowej... Obecne zarządzenie władz państwowych zawiesiło działalność ZNP. Wystarczyła kilkugodzinna lustracja, której protokół dotąd nie został doręczony władzom naczelnym Związku, aby bez wysłuchania jakichkolwiek wyjaśnień władza nadzorcza powzięła decyzję, która stanowić będzie szczególną kartę w historii naszej organizacji"...

W dalszym ciągu cytowanej deklaracji czytamy:

„Wzywamy Was, wielką gromadę nauczycielską, której mamy zaszczyt przewodniczyć, do zachowania męskiej postawy w dniach próby. Wzywamy Was do wierności tradycjom pracy związkowej, do wierności ideałom demokracji, które nam przyświecały i przyświecać będą nadal w służbie Polski.

W przyszłość Polski, w jej wielkość nigdy zwątpić nie możemy i nie zwątpimy.

Jako członkowie Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego ulegając decyzji władz, przerywamy nasze urzędowanie, jednak moralnie czujemy się nadal kierownikami gromady nauczycielskiej, z której rąk otrzymaliśmy mandaty i nie rezygnujemy ani na chwilę z tego progra-

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dyktator z ulicy Sienkiewicza

Na początku był krawiec. Jeden — uniwersalny. Taki, co to szył wszystko, łatał, cerował i nicował. Potem pojawiło się ich więcej i byli to już specjaliści. Jeden szył tylko spodnie, inny kamizelki, inny marynarki, a jeszcze inny palta. Powstawały zakłady krawieckie. Biedni kupowali gotową odzież na tandecie, a odświętne ubrania szyli u drobnych i nie najlepszych rzemieślników.

Nadeszła era przemysłu. Ludzi zaczął ubierać fabryczny krawiec, który nie szył najlepiej i musiał przełamać nawyki z okresu, kiedy każdy miał „swojego" krawca i uważał, że to, co on zrobił było najlepsze.

Dziś bez obaw kupujemy gotową odzież, ale cień dawnych uprzedzeń pozostał. Nie bez winy jest przemysł odzieżowy, który szczególnie w pierwszym okresie nie zawsze umiał przełamać istniejące uprzedzenia. Do dziś w magazynach leżą stosy bubli. Nie bez powodu „Życie Warszawy" głosi, że „pełne (są) składy — puste szafy". Nie u wszystkich. Wśród wielu producentów dwóch jest takich, którzy nie mają kłopotu ze sprzedażą swoich wyrobów. Handlowcy biorą je niemal „na pniu". Są to: ZPO w Bytomiu i ZPO im. dr Próchnika w Łodzi. Pierwszy szyje ubrania męskie, drugi — męskie płaszcze.

U ŹRÓDEŁ TAJEMNICY

Zaczyna się na najwyższym piętrze starej fabryki. Na olbrzymich stołach leżą płaty wełny, elano-bawełny, lub tkanin laminowanych. Specjaliści od „rozwiązywa-

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIAT

Incydent na Morzu Japońskim, w bezpośredniej bliskości Wonsan, gdzie na wodach północnokoreańskich zatrzymany został przez marynarkę wojenną KRL-D amerykański okręt wywiadowczy, odbił się głośnym echem na świecie. Raz jeszcze na „gorącym" uczynku zbierania materiałów szpiegowskich przyłapano Stany Zjednoczone. Specjalne wyposażenie elektronowe statku „Pueblo" nie może budzić niczyjej wątpliwości, jakie wypełniał on zadania. Przyznał to zresztą dowódca okrętu w oświadczeniu, opublikowanym przez koreańską agencję prasową. I choć spece od amerykańskiej propagandy nie są zadowoleni z ujawnienia faktu, że jest to „pomocniczy okręt marynarki do zbierania informacji wywiadowczych" — nie są przecież w stanie wmówić teraz opinii publicznej, że miał on niewinne cele dokonywania pomiarów wód. Podniesiono przeto wrzask, że okręt zatrzymany został na eksterytorialnych wodach. Początkowo podano, że w odległości 25 mil od wybrzeży Republiki Koreańskiej, potem, że w odległości 15 mil. Nie odpowiada to prawdzie, ponieważ był on już na wodach terytorialnych KRL-D — bliżej niż 12 mil od brzegu — a więc dopuścił się naruszenia międzynarodowego prawa. W tym incydencie najistotniejsze jest jednak to, że — jak słusznie zauważa „Borba" — „okręt ten po prostu w ogóle nie powinien znajdować się w rejonie, w którym został schwytany, ponieważ chodzi tu o okręt zwiadowczy, wyposażony w najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne, który zbierał informacje o wyjątkowej doniosłości dla bezpieczeństwa KRL-D".

Incydent z „Pueblo" żywo przypomina aferę z U-2, samolotem, który — jak Czytelnicy zapewne pamiętają — strącony został nad środkowymi rejonami ZSRR. I w tym wypadku skutki mają charakter polityczny.

Że Stany Zjednoczone rozbudowały potężną machinę wywiadowczą — nie jest dla nikogo tajemnicą. I tajemnicą nie jest także, jaką rolę w intrygach międzynarodowych wywiad ten spełnia. Warto natomiast zwrócić uwagę na zbieżność w czasie incydentu z nawoływaniami wojowniczych senatorów USA do akcji militarnej przeciwko Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Chcieliby oni wznowić wojnę koreańską, otworzyć drugi azjatycki front, chyba głównie po to, aby odwrócić uwagę od swych niepowodzeń wietnamskich. Fakt, że wszystko to dzieje się na 10 miesięcy przed wyborami prezydenckimi w USA, nie może być interpretowany inaczej niż tylko jako znak, iż Johnson chce prowadzić swą kampanię wyborczą w atmosferze napięcia. Być może sądzi, że tylko w ten sposób uratuje prezydencki fotel.

W chwili, kiedy oddaję komentarz do druku nie jest jeszcze znany finał incydentu z okrętem „Pueblo", ma on już jednak następstwa polityczne.

I tak np. komentatorzy zastanawiając się, dlaczego „nie powiodła się" Wilsonowi podróż do Moskwy, gdzie przedmiotem rozmów była głównie sytuacja w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, podkreślają, że nie mogło być mowy o żadnym widocznym postępie, skoro W. Brytania popiera bez zastrzeżeń politykę USA.

„Zamiast protestować przeciwko prowokacjom amerykańskim — pisze na marginesie incydentu na wodach koreańskich „Morning Star" — Brown pospieszył z ich poparciem..., co jest typowe dla upokarzającej służalczości Foreign Office wobec USA". W tych warunkach jest zrozumiałe — dodają inne dzienniki — że W. Brytania nie może skutecznie spełniać żadnej roli mediacyjnej.

Po podróży Wilsona oczekiwano głównie postępu w kwestii wietnamskiej. Końcowy komunikat z rozmów nie wydaje się wskazywać, aby uczyniono istotny krok naprzód.

Skoro już mowa o podróżach — trzeba koniecznie odnotować wizytę premiera Kosygina w Delhi. Oficjalnym celem goszczenia w Indii były obchody Dnia Republiki. Premier Kosygin przebywał w tym kraju po raz trzeci. Dwa poprzednie pobyty związane były z uroczystościami pogrzebowymi Nehru i Shastriego.

Zdaniem licznych komentatorów, obecna wizyta dała okazję do przedyskutowania wielu międzynarodowych problemów. Wśród nich w pierwszej kolejności wymienia się: realizację deklaracji taszkienckiej, sytuację na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie oraz układ o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, co do którego India wnosiła pewne zastrzeżenia. Oczywiście, rozmowy dotyczyły także wzajemnych stosunków gospodarczych.

Warto przypomnieć, że India — mimo pewnych zmian w polityce wewnętrznej — pozostaje nadal wierna zasadom niezaangażowania.

Z innych podróży należałoby zwrócić uwagę na rozmowy ministra spraw zagranicznych ZRA — Riada w sześciu stolicach krajów arabskich. Przeważa przekonanie, że egipski minister szczegółowo dyskutował możliwości powrotu do koncepcji arabskiego szczytu oraz misję wysłannika ONZ — amb. Jarringa.

Ten ostatni, zgodnie z powierzonym mu zadaniem, poszukuje pokojowych rozwiązań problemu bliskowschodniego. Sześciokrotnie rozmawiał on już z przywódcami izraelskimi, po kilka razy z przywódcami egipskimi, jordańskimi... Dotychczas brak jednak oznak wyraźnego postępu. Izrael wciąż zajmuje stanowisko blokujące. Nie dzieje się to, rzecz jasna, bez wiedzy i aprobaty Stanów Zjednoczonych.

Po Eszkolu za cel swej wizyty obrał Waszyngton również Dajan. Oficjalnie główny cel podróży: „gromadzić fundusze dla Izraela", naprawdę: przeprowadzić rozmowę z następcą McNamary, nowym sekretarzem obrony — Cliffordem, który powierzone mu przez Johnsona stanowisko objąć ma z dniem 1 marca.

Dajan liczy prawdopodobnie na to, że z Clarkiem Cliffordem, zgodnie określanym mianem „jastrzębia", rzecznikiem bombardowań DRW i rozszerzania interwencji, łatwo znajdzie wspólny język...

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ **Czterech wpływowych senatorów amerykańskich — Mike Mansfield, Eugene McCarthy, Thruston Morton i Charles Percy wezwali administrację johnsonowską do natychmiastowej zmiany polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, „by przywrócić USA prestiż na arenie międzynarodowej". Senatorzy ci ostro skrytykowali politykę administracji johnsonowskiej wobec Wietnamu, stanowisko wobec sprawy udzielenia pomocy zagranicy oraz wobec stosunków z ZSRR.**

■ W związku z zatrzymaniem przez jednostki marynarki wojennej KRLD amerykańskiego okrętu szpiegowskiego „Pueblo" na wodach terytorialnych KRLD, dziennik „Rodong Szinmun" pisze: **„Jeśli amerykańscy imperialistyczni agresorzy będą uparcie dokonywali prowokacji przeciwko północnej części Republiki, koreańska armia ludowa, rewolucyjne siły zbrojne, z których jeden żołnierz może zmierzyć się z setką wrogów, i naród koreański, zarówno w przyszłości, podobnie jak i w przeszłości, zastosują ostre kontrposunięcia przeciwko nim, bez odrobiny miłosierdzia i surowo ukarzą agresorów. Koreańczycy — czytamy w artykule — nie lubią mówić pustych słów".**

■ Redaktor naczelny kairskiego dziennika „Al Ahram" — Mohamed Haikal: „Możliwość, że rozpocznie się wojna, jest większa, niż szanse uniknięcia jej przez rozwiązania polityczne. Co więcej — twierdzę, że walka jest niezbędna, aby osiągnąć rozsądne rozwiązanie polityczne".

■ W związku ze „świętem wiosny" mieszkańcy Szanghaju zostali wezwani do wznowienia kampanii przeciwko „czterem plagom", tj. muchom, komarom, szczurom i wróblom. Podkreśla się, że realizacja tych zaleceń przyniesie wzrost produkcji przemysłowej i rolniczej.

■ **Rząd ZRA oskarżył władze Izraela, po zakończeniu wymiany jeńców, że Izrael nadal przetrzymuje około 170 inżynierów i techników, z których znaczna część pracowała przed agresją czerwcową w synajskich kopalniach węgla. Czynniki oficjalne Izraela stwierdzają, że los osób, o które chodzi rządowi ZRA, nie jest im znany i że prawdopodobnie zaginęły, tak jak mnóstwo egipskich żołnierzy na Półwyspie Synajskim.**

■ Czechosłowacki dziennik „Nova Swoboda" zamieścił informację na temat L. Mniaczko, który opuścił w swoim czasie CSRS i opublikował oświadczenie atakujące politykę Czechosłowacji, przede wszystkim w kwestii Bliskiego Wschodu. Dziennik podaje, że Mniaczko przebywa w Izraelu i pisze o tym kraju książkę, która ma być obroną stanowiska Izraela. Korzysta on przy tym z przywilejów, o jakich nie marzą nawet miejscowi pisarze. Jedno z amerykańskich przedsiębiorstw filmowych zakupiło za 120 tys. dolarów, prawo filmowania jego książki.

■ Zwierzchnik muzułmański Jerozolimy — szeik Alami — oświadczył, że Izraelczycy zburzyli w Jerozolimie dwa meczety, dwa inne zaś przekształcili w świątynie żydowskie.

■ Radiostacja w Tiranie nadaje przez cały dzień audycje w piętnastu językach obcych.

■ **W Paryżu toczą się rozmowy między przedstawicielami NRF i Jugosławii na temat wznowienia stosunków dyplomatycznych. Dziennik „Borba" pisze: „Jak się wydaje, rozmowy przebiegają planowo i nie należy się spodziewać, aby miały zostać zakłócone przez jakieś nieprzewidziane okoliczności. Tak więc, można liczyć, że już za dzień lub dwa nastąpi ich pomyślne zakończenie".**

■ Były korespondent czechosłowackiej agencji CTK w Pekinie komentując rolę, jaką odegrał Mao Tse-tung w rewolucji kulturalnej, stwierdził, że fakt, iż od 1957 roku milczy on i ogranicza się do przyjmowania wyrazów uwielbienia, może mieć dwie przyczyny: „Możliwe, iż zgodnie z chińską tradycją Mao nie jest już zwyczajnym człowiekiem i kontaktuje się z ludem jedynie za pośrednictwem swych przedstawicieli; istnieje też ewentualność, że nie chce on ryzykować popełnienia jakiegoś błędu — mówi tylko wówczas, kiedy wszystko jest zupełnie jasne".

■ **Paryski instytut do spraw studiów nad polityką zagraniczną, zbliżony do MSZ, opracował dokument w kwestii niemieckiej. W dokumencie proponuje się, aby problem niemiecki został rozwiązany poprzez utworzenie konfederacji obu części Niemiec i stworzenie europejskiego systemu bezpieczeństwa. Autorzy zalecają, aby NRF i NRD zostały połączone w „Związek Niemiecki". Ten zaś powinien razem z Polską, Czechosłowacją, Węgrami i krajami Beneluxu utworzyć „unię środkowoeuropejską" — system bezpieczeństwa, w którego ramach terytorialnych nie będzie broni atomowej, podejmie się kroki w kierunku ograniczenia zbrojeń i dokładnie określi się ilość jednostek wojskowych.**

■ Kubańskie Stowarzyszenie Autorów Muzycznych zaapelowało w prasie do wszystkich swych członków, aby zapisywali się na ochotniczy wyjazd do pracy w rolnictwie. „Chodzi o to — głosi apel — aby twórca nawiązał bezpośredni kontakt z pracą w rolnictwie i zapoznał się z realiami tej pracy. Dzięki temu, wyjaśnia stowarzyszenie, twórca będzie mógł komponować dzieła poświęcone pracy ochotniczej w rolnictwie".

■ Prezydent Johnson zarządził, w ramach redukowania wydatków państwowych, zmniejszenie o 10 proc. personelu amerykańskiej służby zagranicznej oraz podobne zmniejszenie wydatków na zagraniczne podróże funkcjonariuszy państwowych.

■ W Pekinie ukazało się zarządzenie komitetu rewolucyjnego zakazujące wolnej sprzedaży gazetek czerwonogwardyjskich i wszelkich innych ulotek czerwonej gwardii. Zarządzenie podkreśla, że niektóre gazetki sprzyjają rozwijaniu się sekciarstwa i podziału pomiędzy ugrupowaniami rewolucyjnymi, ponadto zawarte w owej prasie informacje pozwalają zdobywać przedstawicielom zagranicznym wiadomości na temat przebiegu rewolucji kulturalnej.

■ **W Moskwie bawił z wizytą oficjalną premier Wielkiej Brytanii Harold Wilson. „Ilość komentarzy omawiających wyniki moskiewskich rozmów jest znikoma — pisze Reuter — co zdaje się dowodzić, że premierowi Anglii w zasadzie nie udało się w Moskwie uzyskać niczego konkretnego".**

■ Dziennik „Żenminżipao" omawiając proces „odbudowy" Komunistycznej Partii Chin pisze, że „członkowie KPCh będą mieli swobodę krytykowania polityki i decyzji kierownictwa partii po jej reorganizacji". „Partia — kontynuuje dziennik — której członkowie będą „powolnymi instrumentami" stać się może niebezpieczeństwem dla rewolucji chińskiej, zagrażając jej dywersją od wewnątrz". Dla usunięcia tej groźby jest rzeczą niezbędną — stwierdza pismo — by w łonie partii istniały przeciwieństwa i by były one pokonywane przez „szczerą i uczciwą konfrontację poglądów zmierzającą do wybrania słusznej drogi".

■ AFP podaje z Waszyngtonu że po długich wahaniach spowodowanych obawami konsekwencji politycznych. Amerykanie zdecydowali się na utworzenie w Laosie „elektronowego kordonu". Koszt projektu ma wynieść około jednego miliarda dolarów.

■ **Agencja TASS nawiązując do wrzawy, jaką podniosło wiele zachodnich organów prasowych wokół niedawnej rozprawy sądowej przeciwko przestępcom karnym — Ginsburgowi, Gałanskowowi i Dobrowolskiemu, pisze, iż wyżej wymienieni wpadli w sieć antyradzieckiej organizacji białych emigrantów rosyjskich — NTS, opłacanej przez Centralną Agencję Wywiadowczą USA. NTS zaopatrywała „rozczarowanych" nierobów w dolary, ruble radzieckie, a jednocześnie w antyradziecką literaturę, powielacze i środki do sporządzania tajnopisów. Młodzi „idealiści" (jak obecnie nazywa ich zachodnia propaganda) tracili niemało czasu na poszukiwanie spekulantów handlujących dewizami, aby korzystniej sprzedać dolary.**

■ Trzy okręty wojenne floty radzieckiej przybyły do Port Saidu.

■ Prezydent Izraela wyraził podziękowanie dla działającej we Francji organizacji „Zjednoczony Apel Żydów Francji" za poparcie okazywane Izraelowi w czasie czerwcowej agresji. Przedstawiciel tej organizacji — Rothschild oświadczył na konferencji prasowej że pomoc finansowa okazywana przez Żydów z Francji Izraelowi w roku 1967 była 20-krotnie wyższa niż w latach poprzednich.

■ **Jeńcy egipscy, którzy ostatnio powrócili z niewoli w Izraelu oskarżają władze izraelskie o złe traktowanie. Zmuszano ich m. in. do chodzenia boso po terenach porośniętych kolczastą roślinnością, kładziono twarzą do ziemi, zachęcano do wzajemnych walk o żywność, której brakowało, okradano z paczek dostarczanych przez Czerwony Krzyż.**

(Times of Ceylon)

Grecja: Juntokracja.

LISTY do REDAKCJI

Proszę bardzo o wydrukowanie niniejszego, bądź napisanie czegoś od siebie na poruszony temat.

18. I. 1968 r. wybrałem się do Teatru Wielkiego. Niestety, z powodu oczekiwania na „kolejne stado" środków komunikacji miejskiej, spóźniłem się dwie minuty (sprawdzałem dokładnie na zegarku). W podobnej sytuacji znalazło się około 30 osób. Otóż w chwili, gdy orkiestra zaczęła stroić instrumenty, aby rozpocząć uwerturę do „Pana Twardowskiego", służba teatralna zamknęła nam drzwi dosłownie przed nosem powołując się na zarządzenie dyrekcji Teatru Wielkiego „o nie wpuszczaniu na widownię po godz. 19". W grupie osób, z których sobie w ten sposób zadrwiono byli przedstawiciele Polonii Francuskiej. Na prośbę zebranych poproszono kierownika sali, który podobnie tłumaczył się w/w zarządzeniem i nie wpuścił nikogo. Ja rozumiem, iż „Ordnung muss sein", ale gdy ktoś kupuje bilet za 50 zł i następnie z przyczyn obiektywnych spóźni się o jedną, dwie minuty, to sądzę, że nie należy go w ten sposób traktować!

Dyrektor Piotrowski, z którym również rozmawiano oświadczył, że (cytuję): „jeżeli ktoś spóźni się na pociąg nawet minutę, to pociąg nie będzie na niego czekał". Oczywiście, że jeżeli w ten sposób podejdziemy do sprawy to Pan Piotrowski ma rację, tylko czy należy sztukę traktować jak pociągi, notabene spóźniające się często, a Teatr Wielki jak Dworzec Kaliski? Tym bardziej, że w najporządniejszych teatrach operowych świata, takich jak np. La Scala w Mediolanie, widzowie, którzy się spóźnili mają możność wejścia bądź to w czasie uwertury, bądź też w krótkiej przerwie po uwerturze, której niestety w Teatrze Wielkim nie ma.

Zresztą uwertura do opery jest wstępem, przygotowaniem, które wykształciło się ze strojenia instrumentów i kompozytorzy przeznaczyli ją właśnie dla tych, którzy się spóźnili, po to żeby już nie przeszkadzano w trakcie spektaklu. Aczkolwiek współczesna rola uwertury jest nieco inna, to nadal nie wydaje mi się właściwe trzymać pod drzwiami około godziny grupę ludzi, którzy mieli to nieszczęście z niezawinionych przez nich przyczyn spóźnić się minutę.

Uważam, iż w ten sposób nie wychowa się widza, ale jedynie zniechęci do chodzenia na przedstawienia operowe. Nie mówię już o wrażeniach jakich doznali i wywiozą do Francji jej obywatele, z których jeden, jak mi wiadomo jest korespondentem i współpracuje z „Le Figaro".

Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości mojego pióra i dlatego proszę bardzo, by w imieniu pokrzywdzonych miłośników opery jeden z Panów Redaktorów napisał coś na ten temat.

Proszę o ewentualne powiadomienie mnie o tym.

Z POWAŻANIEM K. T

Łódź, dn. 19. I. 68 r.

(Nazwisko i adres znane redakcji).

W 30 rocznicę strajku nauczycieli

Dalszy ciąg ze str. 1

mu ideowego, reprezentowanej przez nas organizacji, o którego urzeczywistnienie walczyliśmy zgodnie z tradycjami naszej pracy zawodowej".

Deklarację podpisali: Jan Kolanko, Z. Nowicki, Cz. Wycech, dr Albin Jakiel, L. Pawłowski, W. Polkowski, K. Maj, Cz. Pawłowski, St. Bukowiecki, A. Wiącek, W. Tułodziecki, S. Syska, Daniel Puchalski, Włodzimierz Racławicki.

Następnego dnia po ogłoszeniu deklaracji, w dniu 1 października, Zarząd Główny wydał instrukcję na okres przerwy w działalności agend związkowych, ogłaszając przy tym, że pracownicy ZNP w odpowiedzi na decyzję władz rozpoczęli strajk okupacyjny. Zaś w związku z konfiskatą komunikatów wydawanych przez władze Związku, Zarząd Główny przesłał nielegalne oświadczenie o charakterze deklaracji i zarządzenia, które miały obowiązywać w okresie trwania zatargu. Między innymi polecono: 1) nie wykonywać zarządzeń kuratora związkowego, 2) odmawiać „Głosu Nauczycielskiego" wydawanego przez kuratora, 3) natychmiast zwołać zebrania wszystkich komórek związkowych i uchwalić protesty i oświadczenia przeciwne bezpodstawnemu zawieszeniu ZG, wysyłając je do Prezesa Rady Ministrów, Ministerstwa WR i OP i do prezesa Jana Kolanki, 4) dopilnować, aby na zjazdach powiatowych wybrano ludzi ideowych, odważnych i wypróbowanych. Nowym organem związku miało być czasopismo pt. „Wiadomości Nauczycielskie".

Natychmiast też skierowano odwołanie do prezesa Rady Ministrów. Solidaryzując się z Zarządem Głównym, 125 oddziałów oraz 622 ogniska nadesłały do Warszawy swe uchwały i rezolucje.

Wiadomość o wyznaczeniu kuratora w ZNP wywołała wielkie poruszenie w kołach lewicy. Jeden z działaczy lewicowych wyraził się, że zaprowadzenie rządów komisarskich w ZNP jest porażką dla obozu demokratycznego w Polsce. **„Jeżeli nie zrezygnujemy z walki na tym odcinku, porażka może zamienić się w klęskę".**

Rozpoczęta walka była jednak trudna. Tym bardziej trudna, że władze administracyjne i oświatowe z dnia na dzień wydawały nowe zarządzenia represyjne. Nazajutrz po wystąpieniu prezesa Rady Ministrów w dniu 3 października, wydał zarządzenie Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Zarządzenie to w poważnym stopniu godziło w interesy swobody działania oraz groziło surowymi represjami tym, którzy odważą się wystąpić po stronie ZG.

Zawieszenie działalności ZG wywołało też szeroką dyskusję prasową oraz szereg komentarzy na temat dotychczasowej działalności, jak również powiązania ZNP z ugrupowaniami wrogo ustosunkowanymi do władzy państwowej. Między innymi oskarżano ZNP o **„radykalizację nauczycielstwa polskiego"** i chęć **„usunięcia ze szkoły zasad wychowania religijnego".**

Jednocześnie rozpoczęto akcję ze strony władz administracji terenowej. W wyniku pisma naczelnika wydziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 4 października nakazującego przeciwstawienie się akcji protestacyjnej wywołanej zawieszeniem działalności ZG ZNP i wyznaczeniem kuratora, w dniu 6 października naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego skierował pismo **do wszystkich starostów woj. łódzkiego o konieczności przeciwdziałania akcji nauczycieli oraz polecające składanie sprawozdań o panujących wśród nauczycieli nastrojach.**

W szczególności chodziło o zbadanie reakcji władz powiatowych ZNP oraz ogółu nauczycielstwa na zarządzenie Starosty Grodzkiego w Warszawie oraz na oświadczenie premiera gen. Sławoj-Składkowskiego. Ponadto polecono starostom składanie dokładnych sprawozdań z aktualnej sytuacji wśród nauczycielstwa oraz charakterystyki członków zarządów powiatowych i wybitniejszych działaczy związkowych. Jednocześnie polecono **„wezwać do siebie nauczycieli mających wpływ na ogół nauczycielstwa i spowodować, by działali na uspokojenie umysłów, wzburzonych ostatnimi zarządzeniami — przez wyjaśnienia,**

Fot. Piotr Kwiatkowski.

że ostre środki przedsięwzięte przez władze państwowe odnoszą się jedynie do Zarządu Głównego ZNP i nie godzą w ogół nauczycielstwa zrzeszonego w ZNP".

Jak z powyższego wynika, władze wojewódzkie pragnęły uniknąć większego wzburzenia nauczycieli. Dlatego też w końcowej części cytowanego pisma polecono **„zwrócenie uwagi na tę sprawę i wydanie zawczasu odpowiednich zarządzeń zmierzających do sparaliżowania przedsiębranej akcji protestacyjnej"**, oraz niezwłoczne informowanie o zaobserwowanych przygotowaniach do tej akcji.

Pismo identycznej treści wysłano też do Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej.

Tymczasem na terenie całego kraju zawrzało. Rozpoczął się okres wzmożonej akcji protestacyjnej.

W Łodzi, na zlecenie nielegalnego już Zarządu Głównego, w dniu 17 października zorganizowano zebranie nauczycieli, w celu podjęcia decyzji o dalszym postępowaniu. Organizatorem zebrania był Zarząd Okręgu wraz z Zarządem Oddziału Grodzkiego. W wyniku wielogodzinnej, bardzo burzliwej (jak jeden z uczestników określił — ognistej) narady postanowiono strajkować. Decydującą rolę w tej gorącej atmosferze odegrał prezes Zarządu Okręgu Łódzkiego Tomasz Wasilewski. Jego postawa, jak podkreślają uczestnicy zebrania, zdecydowała o strajku. W swym przemówieniu, które cechowała rozwaga i zdecydowanie, podbudował psychicznie i tych, którzy zdecydowali się strajkować i tych, którzy szukali innych dróg wyjścia z tej tak trudnej sytuacji. W wyniku głosowania większość wypowiedziała się za strajkiem. Podsumowując głosowanie prezes Wasilewski podkreślił, że strajk obowiązuje tylko tych, którzy za strajkiem głosowali. W tym momencie zerwała się burza. Nawet ci, którzy za strajkiem nie głosowali oświadczyli, że decyduje większość — zatem decyzja większości obowiązuje wszystkich. Strajk miał się rozpocząć następnego dnia.

Cała noc w lokalu Zarządu Okręgu przy ul. Zachodniej pełniono dyżur. Czyniono to w asyście policji, która strzegła, ażeby dyżurujący telefonicznie nie rozprzestrzeniali decyzji o strajku.

Rano, kiedy przed domem Związku zaczęli gromadzić się strajkujący nauczyciele, policja wydała polecenie rozejścia się. Wówczas zmieniona została decyzja i zamiast gromada na plac Wolności strajkujący pojedynczo udali się do Grobu Nieznanego Żołnierza. Ale i tu policja przeszkadzała w gromadzeniu się. Wówczas zebrani postanowili czekać na dalszych napływających nauczycieli w Katedrze. Tu wstęp policji był wzbroniony.

Kiedy w Katedrze zebrała się odpowiednia ilość, wszyscy gromadą udali się do Grobu Nieznanego Żołnierza i otoczyli go kołem. Zaś zebranych otoczyła policja. Mimo to, nauczyciele nie bacząc na skutki wznosili okrzyki, odśpiewali hymn oraz „Nie rzucim ziemi".

Mimo obaw, aresztowań na miejscu manifestacji nie było. Akcja policji ograniczyła się jedynie do utrzymania porządku. Toteż nauczyciele po zamanifestowaniu swej postawy spokojnie rozeszli się, dbając o to, by nie dać złego przykładu swym wychowankom.

W niedługim czasie akcja protestacyjna objęła teren całego województwa. Zachowane źródła archiwalne obrazują przebieg tej akcji. W dniach od 26—27 października sprawozdania o przebiegu wypadków nadesłali wszyscy starostowie powiatowi, w tym również grodzki łódzki dr H. Mostowski. Dając ocenę panującej atmosfery stwierdził on, że **„Stanowisko władz ZNP w Łodzi jest zdecydowanie negatywne do wszelkiej ingerencji Rządu, czy władz administracyjnych i na skład personalny Zarządu Głównego. Zamierzenia Związku idą w tym kierunku, by na najbliższym Walnym Zjeździe wybrać jednogłośnie Zarząd w tym składzie, jaki był przed mianowaniem kuratora".**

Tak też się stało. Na zjeździe, który zamiast w Warszawie odbył się w Krakowie w dniu 2 lutego 1938 roku, w pierwszym głosowaniu wybrany został b. prezes Kolanko. Był to jednak wybór demonstracyjny i prezes Kolanko wyboru nie przyjął, tłumacząc się trudnościami, mogącymi wyniknąć dla całej organizacji ZNP. W ponownym głosowaniu na stanowisko prezesa wybrano dotychczasowego wiceprezesa Z. Nowickiego. Obok niego, spośród dawnych członków zarządu zostali wybrani: Cz. Wycech, A. Wiącek, dr A. Jakiel, K. Maj i St. Kwiatkowski.

W Łodzi w wyniku wyborów delegatów na Krajowy Zjazd zostali wybrani: T. Wasilewski, J. Zaczek, St. Sadłowski, E. Dutkiewicz, M. Woźniakowski, Z. Maciejewski, J. Marczyński, St. Macińska i J. Polakowski.

Starosta Mostowski, oceniając ogólnie delegatów łódzkiej organizacji stwierdził: **„Wyżej wymienieni politycznie nie są zaangażowani, natomiast wszyscy reprezentują kierunek demokratyczny. Należą do wybitniejszych działaczy na terenie ZNP, całkowicie oddani organizacji i zdecydowanie stojący na stanowisku rozwiązanego Zarządu Głównego".**

Delegaci Łodzi, podobnie zresztą, jak delegaci z całego kraju, nie zawiedli zaufania swych wyborców. Zgodnie z duchem powszechnie panującym oraz w wykonaniu uchwał zjazdów powiatowych, do nowego Zarządu Głównego ZNP wybrali wielu członków dawnego zarządu.

Obecny Zarząd Łódzkiej Organizacji Związkowej godnie uczcił wypadki 1937 r. W rocznicę obchodów 25-lecia przez uczestników strajku i delegatów na Krajowy Zjazd opracowane zostały dwa artykuły. Opublikowano też dokumenty władz, świadczące o chlubnej działalności łódzkich nauczycieli. Zaś w 30 rocznicę strajku zorganizowano spotkanie uczestników strajku oraz wystawę archiwalną obrazującą dzieje tej walki. Również najbliższy Biuletyn Zarządu Okręgu ZNP w poważnej części poświęcony będzie dziejom wypadków strajkowych oraz pamięci ich uczestników.

MIECZYSŁAW BANDURKA

Nożycami przez PRASĘ

ZNOWU O SERCU

Próby z przeszczepieniem serca wywołały żywą dyskusję również i w pismach polskich. Od „Polityki" do „Tygodnika Powszechnego". Włączyła się TV, włączyło się Radio. Ścierają się różne postawy etyczne, rozstrzasa się rozmaite aspekty sprawy, a jest ich wiele, od lekarskich i prawnych poczynając. W gruncie rzeczy jest to szeroka dyskusja o humanizmie. Zasygnalizujmy niektóre jej momenty.

Przeszczepienie serca może oznaczać dalsze zdejmowanie sakwy z człowieka, by użyć wyrażenia Marii Dąbrowskiej. Może też oznaczać „czynanie na cudze serce". Zauważono, a okrutne doświadczenia dwudziestego wieku łatwo takie refleksje nasuwają, że może się zjawić dyktator w rodzaju Hitlera, który będzie zabierał serce innym dla swojej elity czy klasy uprzywilejowanej.

Cały szereg wątpliwości, zaczynających się od kłopotów, związanych z naukowym ustaleniem ludzkiej śmierci, niejako rekapituluje Anna Tatarkiewicz w „Polityce". Podnosi dwie sprawy w jej przekonaniu zasadnicze:

1. przy operacji przeszczepiania serca, aby jeden człowiek mógł żyć dłużej, drugi człowiek musi najpierw umrzeć. 2. przy przeszczepianiu organów ludzkich w ogóle ciało ludzkie traktowane jest jako swego rodzaju surowiec: w wypadku przeszczepiania serca — surowcem tym jest organ do życia niezbędny.

Następnie przypomina:

Dla wierzących — ciało budzi szacunek jako „przybytek ducha świętego"; dla laików — jako obiekt ludzkiej miłości.

Inne niebagatelne pytanie — to:

Kto ma wyrazić zgodę na dysponowanie sercem tylko co zmarłego człowieka? On sam? Jeśli idzie o gwałtowny wypadek, ta możliwość nie wchodzi w rachubę. Jeśli idzie o śmierć naturalną, to albo trzeba by zawczasu zyskać zgodę umierającego, albo bezpośrednio po jego śmierci — zgodę najbliższych, którzy z reguły w takiej sytuacji znajdują się w stanie szoku emocjonalnego i nie dysponują pełną świadomością. Jeśli wyrażają zgodę, to pod naciskiem lekarzy, a więc ludzi, wobec zmarłego obojętnych, często — jak wiemy o tym, niestety, z wielu współczesnych relacji — nieludzko obojętnych wobec cudzego bólu.

Motto tych rozważań zawiera się w głęboko humanistycznym zdaniu:

Życie ludzkie jest wartością cenną, ale nie bezcenną, w tym sensie, że nie wolno ratować życia za cenę wartości, które to życie przerastają.

Zaś „Tygodnik Powszechny" kończy swoje rozważania informacją:

Najlepszym wyjściem będzie jednak skonstruowanie protezy serca. Włoski tygodnik „Rocca" ogłosił ostatnio wywiad na temat transplantacji serca z drem Diego Brescia. Dr Brescia wyraził opinię, że możliwość skonstruowania tego rodzaju protezy da się zrealizować w ciągu najbliższych trzech lat. Podał nawet przypuszczalny koszt takiego sztucznego serca — ok. 500 dolarów.

Jeśli tego rodzaju prognozy są słuszne, to obecne operacje przeszczepiania serca ludzkiego należałoby traktować jedynie jako fazę przejściową.

Wszystko to nie wyczerpuje tej wyjątkowej dyskusji, która długo będzie szukać dla siebie jakiegoś wspólnego mianownika i, być może, bez rezultatu.

ADM NA CENZUROWANYM

Sama podwyżka komornego bynajmniej nie gwarantuje normalnej sytuacji, w której finansowe świadczenia lokatorów będą mniej więcej odpowiadały wydatkom na utrzymanie we właściwym stanie domów mieszkalnych. Wszystko zależy od prawidłowego funkcjonowania administracji, dysponującej tymi pieniędzmi, od ludzi, jacy na jej zlecenie pracują, od metod stosowanych w pracy.

Reporter „Kultury" zbadał stosunki w domach warszawskiego Żoliborza, podlegających administracji ADM-2. Poszczególne epizody, opisane przez reportera, mają posmak skandaliczny. Oto opowieści lokatorów:

„Miałem podobną historię, też dałem. Myślicie, że pomogło? Minął tydzień, miesiąc. Ani pieniędzy, ani remontu. Dopiero gdy zrobiłem w administracji piekielną awanturę i oświadczyłem, że zaraz idę do prokuratora, pomogło. Zaczęły się lamenty, prośby, że żona, dzieci... Ale i tak sknocili".

„Zepsuł się kran w łazience, zadzwoniłem do administracji, powiedzieli, że przyjdą, nie przyszli. Poszedłem osobiście. Zapisali i też nie przyszli. Poszedłem ponownie. Powiedzieli, że nieprędko, bo nie ma ludzi, chyba że chcę prywatnie... Powiedziałem, że chcę. Po godzinie kran był naprawiony".

„Przyszedł hydraulik. Obejrzał pęknięty zlew i oświadczył, że takiego akurat nie ma w magazynie, chyba że... Zgodziłem się".

„Przyszli z administracji, obejrzeli zapchany sedes. Zrobili. Ale jakoś do wyjścia nie spieszą się. Dałem pięćdziesiąt złotych, a po miesiącu przyszedł rachunek".

Kartki z notesu reportera:

„Ludzie nie mają zaufania do usług wykonywanych przez ekipy ADM. Panuje przekonanie, że prywatnie, nawet siłami tejże ekipy robota zostanie wykonana lepiej".

„Fuchy wykonywane są przez ekipy ADM najczęściej przy użyciu materiałów pochodzących z ADM".

„Trzeba było wycyklinować lokatorowi podłogę... Administratorką zleciła wykonanie pracy... własnemu mężowi. Ten jednak nie miał pojęcia o cyklinowaniu i doszło do awantury".

„Sporo ludzi traktuje pracę w administracji budynków mieszkalnych jako korzystną posadę dającą okazję do robienia prywatnych fuch. Gdy lokator zgłasza się do administracji z prośbą o wykonanie jakiegoś remontu, często spotyka się z odmową. Dowiaduje się, że nie ma akurat ludzi, materiałów itp. Trudności te znikają, gdy wyraża chęć zlecenia roboty prywatnie".

Dyrekcja żoliborskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych ucieka się do sposobów drastycznych, kieruje sprawy do milicji i prokuratury. Borykając się z trudnościami, zabiega o stabilizację kadry z poczuciem odpowiedzialności. Zapowiada to poprawę.

Na zakończenie Wiesław Iwanicki zapytuje:

Ale czy wszędzie to już zrozumiano? Czy wszędzie już realizowany jest program poprawy pracy administracji budynków mieszkalnych?

Willę przeciwko trzem butelkom piwa stawiamy, utrzymując, że to pytanie jest aktualne nie tylko w stolicy!

JAN OLECHNO

Dyktator z ulicy Sienkiewicza

Dalszy ciąg ze str. 1

nia łamigłówek" układają wykroje i odrysowują je na tkaninie. Praca niby prosta, a przecież trzeba mieć nie lada wprawę, aby ułożone obok siebie wykroje dały najmniej ścinków.

Nie sądźcie jednak, że krojczy ma na ręku odciski od nożyc. Tkaninę tnie „piła mechaniczna". Tnie bardzo dokładnie. Krojczy obraca tylko tkaninę. Pocięte kawałki idą na szwalnię. Tutaj kobiety w brązowych fartuchach powtarzają dobrze wyuczone czynności. Pocięta tkanina „scala się". Powstaje element płaszcza. Przechodzi dalej i za chwilę na wieszaku wisi gotowy płaszcz. Wyciągiem zjeżdża do prasowalni i można go wysłać do sklepu.

W dyrektorskim gabinecie dzwoni telefon. Mówi Warszawa. Kierownik firmowego sklepu z pl. Konstytucji. Nie ma co sprzedawać. Weźmie każdą ilość. Ba! Grozi interwencja prasy warszawskiej.

— Niech pan poczyta sobie, jak wczoraj obmalowali dyrektora ZPO im. Obrońców Warszawy — mówi — czy chce pan, aby pana tak obsmarowali.

Dyrektor broni się, prosi, aby mu nie grozić, nie szantażować, ale w końcu ulega, obiecuje, że jutro wyśle cały samochód płaszczy.

Sklepy firmowe „Próchnik" ma w Warszawie, Bydgoszczy, Poznaniu i Krakowie. W Łodzi zaopatruje „Edwarda", „Uniwersal" i MHD. Poza tym 8 tys. płaszczy rocznie dostarcza warszawskiemu CDT. Resztę bierze hurt.

Tak jest dzisiaj. W 1959 roku w fabryce było zapasów — tzn. gotowych płaszczy — wartości 70 milionów złotych. Dziesięć lat temu — w 1956 roku — wartość rocznej produkcji wynosiła 27.131 tys. zł, w 1966 — 52 miliony zł. W 1956 roku w fabryce było 972 robotników zatrudnionych bezpośrednio w produkcji, dysponowali oni 36 specjalistycznymi maszynami i 149 podstawowymi, w dziesięć lat później liczba robotników produkcyjnych zmniejszyła się do 817, liczba maszyn specjalistycznych uległa podwojeniu i wynosi 77, ilość maszyn podstawowych zwiększyła się do 246. Dzięki temu „Próchnik" szyjący w 1956 roku 263,9 tys. sztuk płaszczy mógł skoczyć do 371.1 tys. sztuk w 1966. Nie jest to jednak tylko skok ilościowy.

Gdzież więc jest przyczyna? W czym leży tajemnica? Znów wypada sięgnąć do liczb, do wskaźników, których nikt zbytnio nie lubi, a bez których trudno zrozumieć niektóre zagadnienia życia gospodarczego. Sięgnijmy więc do wskaźnika najbardziej wymownego. W 1956 roku w fabryce było 38 pracowników ze średnim lub zasadniczym wykształceniem zawodowym, obecnie — tzn. w 1966 roku — jest ich 223. Przeszło 80 proc. załogi ma staż ok. 10 lat. Do „Próchnika" przyjmuje się ludzi tylko po zasadniczej szkole zawodowej lub technikum odzieżowym. Jednym słowem stabilizacja załogi, doskonalenie umiejętności, stała mechanizacja prac. Aktualnie montuje się 18 maszyn prasowalniczych sprowadzonych z NRF. W najbliższym czasie pracować będzie stuigłowa maszyna włoska do pikowania podszewek oraz holenderska drukarka do etykiet. Ta ostatnia obsłuży cały przemysł odzieżowy.

DYKTATOR MA BRĄZOWE OCZY

Tajemnicą — okazało się — jest normalna droga rozwoju każdego przemysłu. Nie ma żadnych cudów. Tylko, że wiele zakładów otrzymuje nowe maszyny, doskonali umiejętności pracowników, rozwija postęp techniczny, a przecież nie każdy z nich może pochwalić się pomysłowymi wzorami, dobrą jakością, solidnym wykonaniem. Niektórzy skłonni są nawet uważać, że każdy krok na drodze mechanizacji przyczynia się do obniżenia jakości przynajmniej w pierwszej chwili. Tylko, że czasami „pierwsza chwila" trwa niezwykle długo. Zapobiec temu można ucząc uprzednio ludzi,

przygotowując ich do posługiwania się nowościami technicznymi. Tak właśnie postępują w ZPO im. dr Próchnika.

O jakości nie decydują tylko ludzie zajmujący się wykonaniem — w tym wypadku szyciem. Decydują również ci, którzy przygotowują modele.

W tym momencie kończy się nasza wizyta przy ul. Sienkiewicza, gdzie mieszczą się ZPO im. dr Próchnika. Teraz trzeba udać się na ul. Więckowskiego, do starej fabryki, gdzie na samej górze, ulokowali się plastycy i wzorcownia. Niżej fabryczne magazyny.

Plastyków jest dwoje: Aleksandra Noskowicz i A. Kamiński. Razem wykonują miesięcznie 20 projektów. Rysują model, dobierają tkaniny. Zawsze kilka kompozycji wierzchu, podszewki i podpinki. Handlowi do wyboru, wykonawcom z ul. Sienkiewicza na wszelki wypadek. Wprawdzie przemysł każdorazowo potwierdza, że dostarczy potrzebne tkaniny, ale w życiu różnie bywa. Wszystko się może zdarzyć.

Tym razem zdarzyła się stara prawda. My — mężczyźni — rządzimy światem, a nami, kobiety. Okazało się, że kobieta decyduje nawet o tym, w jakich płaszczach będziemy chodzić za rok. Okazało się, że dyktator męskiej mody ma piękne brązowe oczy. I okazało się, że wraz z A. Kamińskim tworzą parę ludzi o bogatej wyobraźni, dobrym smaku i ciekawych pomysłach. Najlepszy dowód, że dobrze nas ubierają.

Modele powstające w niewielkim pokoju na samej górze pofabrycznego budynku przy ul. Więckowskiego szyją również w ZPO w Głuchołazach, w Świebodzicach, Boguszowie, w Średzkich Zakładach Odzieżowych PT w Środzie oraz w kilku spółdzielniach. M. in. w łódzkiej spółdzielni im. P. Findera. Do niedawna z projektów tych korzystała spółdzielnia im. Lewartowskiego. Ostatnio „sprawiła" sobie własną komórkę projektowania i wzorcownię.

W sumie „Próchnik" decyduje o produkcji 1.200 tys. płaszczy męskich. Do tego warto dodać 800 tys. płaszczy chłopięcych, które powstają w zakładach stanowiących zrzeszenia, w którym rolę wiodącą odgrywa „Próchnik".

NIEŁATWE ŻYCIE

Chwalimy „Próchnika" za wykonanie, za to, że nadąża za modą, za pomysłowość. Ba! Można spotkać się z objawami snobizmu — każdy chciałby się ubierać w najnowsze płaszcze od „Próchnika" i wszelkie znajomości z ludźmi tam pracującymi, lub w sklepach, gdzie trafiają nowości, zalicza się do najbardziej poszukiwanych i cenionych. „Próchnik" mógłby dawać więcej poszukiwanych nowości. A jeżeli tego nie robi, to nie dlatego, że chce przeciwdziałać snobizmowi. Zupełnie z innych powodów.

Z 20 projektów przygotowywanych przez plastyków każdego miesiąca, 12 wybiera komisja. Z tego na giełdę zakład zgłasza blisko 70 wzorów. Na Jesiennych Targach w Poznaniu — Jesień 67 — handlowcy mieli do wyboru 65 wzorów. Skorzystali zaledwie z... 11 propozycji. Przy czym największym powodzeniem cieszyły się wzory pokazywane już na poprzednich giełdach, a więc sprawdzone w handlowej praktyce. I tak zamawiano po 19,5, 13,5 i 10 tysięcy sztuk płaszczy szytych według wymogów mody aktualnej dwa lata temu. Natomiast nowości zamawiano od 500 (!) do 4,5 tys. sztuk. Dobrze to o odwadze handlu nie świadczy. Gorzej, ostrożność hamuje możliwości szybkiego wprowadzania do produkcji nowych wzorów. Krótkie serie są też potrzebne, są niezbędne, ale wprowadzanie nowych wzorów nie może odbywać się z opóźnieniem. Jeśli nowość chwyci, na następnej giełdzie — za pół roku — handel ponawia zamówienia. Tylko — drobnostka! — klient otrzymuje wzór szyty według wymogów mody sprzed 2 lat. Projektanci wprawdzie uaktualniają model, pilnie śledzą wszelkie zmiany zachodzące w światowej modzie męskiej, nie mają jednak wielu możliwości dla szybkiego na nie reagowania.

Kontakt z tym, co się dzieje na świecie jest stały. Zagraniczne żurnale, wydawnictwa krajowe, relacje wyjeżdżających na zagraniczne wojaże, przegląd kupowanych w różnych krajach płaszczy. Rezultat jest taki, że płaszcze od „Próchnika" znane są w ZSRR, w niektórych krajach Afryki i Azji, we Francji, Kanadzie, krajach skandynawskich i USA.

Rezultat sumy wysiłków podejmowanych na ul. Sienkiewicza i ul. Więckowskiego jest taki, że „Próchnik" ma prawo nadawania według własnego uznania znaku jakości „1"

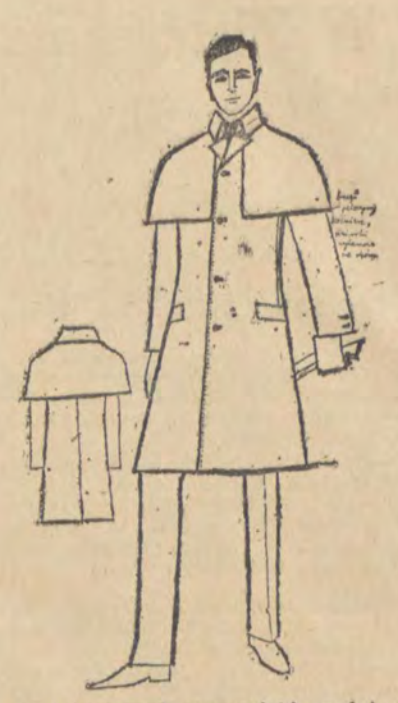

dla produkowanych przez siebie wełnianych płaszczy. Nazywa się to kompleksowym znakiem jakości „1".

Widziałem nowości ZPO im. dr Próchnika, których nie chciał przyjąć handel. Muszę przyznać, że są bardzo ładne. Osądźcie zresztą sami oglądając reprodukowane tu rysunki projektów autorstwa Aleksandry Noskowicz i A. Kamińskiego. Jestem pewny, że prawie każdy model znajdzie wielu chętnych nabywców. Dlaczego nie ma ich w sprzedaży?

PROGNOZA NIE PROROCTWO

Dwóch jest producentów cieszących się powszechnym uznaniem: „Bytom" i „Próchnik". Budzą oni zainteresowanie nie tylko w kraju. W Bytomiu szyją również zagraniczni wytwórcy, dostarczając materiały i wzory. Nie jest to wprawdzie ani zbytni powód do dumy, ani do wstydu. Po prostu uznanie dobrej roboty. Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że w najbliższym czasie również „Próchnik" doczeka się zagranicznych zamówień podobnych do zamówień, jakie ma „Bytom". Były już nawet w tej sprawie wstępne rozmowy. I będzie to również tylko uznanie dobrej roboty.

Dlatego wydaje mi się, że niezwykle istotna jest troska o dalszy rozwój fabryki i to nie tylko jakościowy, ale również ilościowy. „Próchnikowi" jest już ciasno przy ul. Sienkiewicza. Szuka lokalizacji. W przyszłej pięciolatce ma stanąć nowy gmach. Czas na opracowanie dokumentacji, ale... nie ma jeszcze lokalizacji. Rozważa się dwie koncepcje, gdzie go postawić — w pobliżu centrum, czy gdzieś na obrzeżu? Zakład wprawdzie dla miasta nieszkodliwy, jeśli znajdzie ładne rozwiązanie architektoniczne może być ozdobą dzielnicy, w której stanie, ale jeśli będzie rozważana decyzja o przeniesieniu go poza centrum, to warto wziąć pod uwagę sprawę dojazdu i stabilizacji załogi, aby zmiana położenia nie spowodowała zbytnich kłopotów kadrowych, jakie nieobce są niektórym łódzkim fabrykom leżącym z dala od szlaków miejskiej komunikacji. Dobrze byłoby, aby „Próchnik" te kłopoty ominął.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAN BĄBIŃSKI

Antyfonia contra fonii

Na przeprowadzenie takiej ankiety, ankiety wśród lokatorów nowych osiedli mieszkaniowych, nikt jeszcze się nie zdecydował. Może nawet słusznie. Cóż by taka ankieta dała? Wiadomo bez tego, że plagą prefabrykowanych pokoi są szpary w drzwiach, nie dopasowane okna, spadające tynki i krzywo położone podłogi. Czy to już wszystko? Gdzie tam. Gdyby w przyszłości ktoś zdecydował się na taką ankietę, to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że większość mieszkańców nowych bloków wcale by nie wybijała na pierwszy plan szczelin, szpar, nawet nie zacieków. Większość rzucałaby gromy przede wszystkim na potęgujący się hałas. Na owe krzyki, stuki, zgiełk i harmider, wrzaski, które wlatują do mieszkań z zewnątrz i kumulują się w każdej izbie od rana do wieczora.

Myśli kto, że to polska tylko specyfika? Nie, to choroba, na którą cierpią kraje znacznie od naszego bogatsze.

Francja była bogata za Ludwików i przed nimi, za Napoleona i po nim, przed Sedanem i po Sedanie, przed pierwszą wojną światową i po niej. I nic z tego bogactwa nie uszczupliła druga wojna światowa. Zmieniały się rządy i ustroje. Tylko ogromne bogactwo tego kraju pozostawało zawsze jednakowe. Można je ocenić po wielu rzeczach. A już najbardziej po wyglądzie willi, stylowych, jednorodzinnych domków, którymi usiane jest każde prowincjonalne miasteczko.

Bo Paryż, to jeszcze nie Francja. Tak jak Nowy Jork to jeszcze nie Ameryka. Francuskie domy na prowincji. Są to raczej miniaturowe pałace, na które rzuciłby się z pasją każdy nasz konserwator wojewódzki i ogłosił je dziełem sztuki i architektonicznym zabytkiem. Bogata Francja. Kraj, który długo żył z pożyczek i procentów. Niejeden łodzianin i dziś jeszcze pamięta czasy, kiedy to „pracował w fabryce u Francuzów". Mieszczańskie rodziny w Normandii i nad Loarą. W domkach jak z piernika, które bardziej przypominają muzea sztuki, niż budynki mieszkalne. Tyle w nich kosztownych, starych mebli i cennych obrazów. Do tego jeszcze rodzinne bijoux, rodzinne klejnoty... O stracie „bijoux" mówi się we Francji szeptem, jak o stracie kogoś najbliższego w rodzinie. Mówi się ze zgrozą, jakby pod nogami ogólnie szanowanej rodziny nagle rozwarła się przepaść.

Skradziono nam bijoux! Boże święty, czy człowieka może spotkać większe nieszczęście? Rodzinne klejnoty! Prawdziwe kolekcje łańcuchów, diademów, kolczyków, szpilek, puzderek, pierścieni i cała gama drogich kamieni. Przekazuje się je z pokolenia na pokolenie. A każde coś tam dorzuca po drodze na zabezpieczenie starości, dla większej niezależności w życiu, na czarną godzinę, na wyposażenie córki. Największą pasją francuskiego mieszczanina są i były bijoux. Wiem co mówię. Widziałem śluby na prowincji. Widziałem co panny młode dźwigały na szyi, czym miały obleplone palce. To nie była czeska namiastka ze szkiełka. To było prawdziwe złoto i prawdziwe brylanty. Francuz bez klejnotów czuje się wydziedziczony, goły i bezbronny jak parias. Wytrawni spece przypuszczają, są nawet tego pewni, że obecnie w państwach zachodnich jest w prywatnym posiadaniu złoto wartości 41 miliardów dolarów. Kilkanaście z tych miliardów spoczęło we francuskich pończochach i materacach.

Bogata jest Francja — co do tego nikt chyba złudzeń nie ma. A jednak i ten kraj, jeden z przodujących w świecie po dziś dzień nie potrafił rozwiązać problemu mieszkaniowego. Sądzę, że mam niejako prawo do osobistego wypowiedzenia się w tej kwestii. Przez miesiąc mieszkałem w nowoczesnym budynku z prefabrykowanych elementów w nowej dzielnicy „Sanitas" w Tours nad Loarą. Budynek, jak wszystkie inne dokoła, prezentował się doskonale. Był nienagannie wykończony. Żadnych plam na ścianie. Żadnych zacieków, które by wędrowały czarną ohydną strugą po rozmiękłej smole od dachu po same fundamenty. Gdy okno się zamykało, słychać było przeciągły świst, jakby do próżni wdarło się raptem powietrze. Aż ssało... Podłogi z tworzyw sztucznych. Tynki trwałe. Miedź, nikiel na klamkach i w łazience. Lśniło to wszystko. Błyszczało. A jednak w tym budynku, który na oko nie miał żadnych absolutnie usterek, długo nie mogłem pierwszej nocy oka zmrużyć. Wpadały do ucha donośne głosy z bocznych pokoi. Także z piętra. Chwilami łapałem całe zdania. Mogłem wyraźnie policzyć kroki wchodzących na III piętro po betonowych schodach. Aż dudniło. Słyszałem kto otwierał kran, kto go zamykał, gdzie nabierano wodę do szklanki, a gdzie do garnka. Woda syczała w ścianach jak w najgorszych paryskich hotelach czwartej kategorii. Ten dom był jednym, wielkim pudłem akustycznym.

Zaglądałem też do nowych bloków położonych po drugiej stronie szerokiej niczym bulwar ulicy. Tworzyły dzielnicę zamieszkałą przez kilka tysięcy rodzin. Przypominały Ścianę Wschodnią w Warszawie. Tyle, że wieżowce były 15-piętrowe. Stały, przegrodzone niższymi budynkami tworząc idealnie prostą linię z 80-metrowymi wieżami katedry gotyckiej z XIII wieku. Dla urbanisty to osiedle mogło być lekcją pokazową, jak należy wykorzystać starą zabudowę dla uzyskania dobrych efektów perspektywicznych także w nowym budownictwie. Francuzi mają „przestrzenny", jeśli można tak powiedzieć, talent. Skrzyżowanie, wylot każdej ulicy, starają się za wszelką cenę wypunktować jakimś architektonicznym akcentem. Niech to będzie pomnik, wieżowiec, fontanna lub kościół. Niech to będzie cokolwiek, na czym by można zawiesić wzrok i podumać nad pięknem architektonicznych rozwiązań. Celuje w tym Paryż. Ale prowincjonalne miasta też nie chcą być gorsze.

Chodziłem po klatkach schodowych nowych bloków i przecierałem oczy. Mozaika, lustra, olejne malowidła, jak w niektórych ubiegłowiecznych, mieszczańskich kamienicach przy Piotrkowskiej. Więc to tak, więc to tak... A jednak lokatorzy, po większej części drobni urzędnicy, sklepowi sprzedawcy i wykwalifikowani robotnicy wcale nie byli swym locum zachwyceni. No tak, mieszkanie jest wygodne, gaz i woda na miejscu, garaże pod ręką, super-market o dwa kroki. Tylko ten straszny hałas. Sąsiad kichnie w trzecim mieszkaniu, a słychać jakby stał w oknie. To już nie do wytrzymania. Nikt tu nie mieszka u siebie. Wszyscy mieszkają razem jak w gigantycznym ulu... Podobne opinie o nowym budownictwie wyrażane są w innych miejscowościach. Także w Paryżu, gdzie w niektórych dzielnicach postawiono bloki o standardzie bez porównania niższym niż w Tours. Bo Tours jest w pewnej mierze miastem uprzywilejowanym, wzorcowym, jest ważnym ośrodkiem turystycznym, skąd rozchodzą się drogi do królewskich zamków nad Loarą i miejscowości wypoczynkowych u podnóży Pirenejów.

Jakie więc w bogatej Francji podejmowano kroki by zmniejszyć hałas w prefabrykowanych mieszkaniach? Dotychczas nie podejmowano żadnych.

Najważniejsza była ilość, jakość siłą rzeczy schodziła na plan dalszy. Dopiero niedawno, przed kilkoma zaledwie miesiącami przekazano w Montargis pierwsze „antyfoniczne", eksperymentalne osiedle dla 360 rodzin. Do budowy użyto nowych zupełnie materiałów. Opinia publiczna przyjęła tę wiadomość z westchnieniem ulgi. Nareszcie antidotum przeciw hałasowi. Wreszcie położono tamę coraz bardziej bezwzględnie rujnującej zdrowie inwazji decybeli. Po raz pierwszy zabrano się na serio do problemu „L'isolation phonique", więc fonicznej, akustycznej izolacji mieszkań. Wzięto pod uwagę głosy wybitnych lekarzy, którzy powtarzali od lat, niestety było to wołanie na puszczy, że jedna trzecia ich pacjentów, to ludzie chorzy na nerwice spowodowane życiem zbyt kolektywnym i aż nadto hałaśliwym. Końcowa uwaga lekarzy — specjalistów, brzmiała: — Ze wszystkich niebezpieczeństw na jakie wystawiony jest człowiek współczesny, hałas jest niebezpieczeństwem najgroźniejszym...

JERZY WITCZAK

Kier. Wydz. Prop. ZW ZMS

ZMS — związek ludzi czytających

W wieku kina i telewizji a więc w wieku kultury zwanej przez socjologów kulturą obrazu, książka zajmuje na pewno inne miejsce niż zajmowała w życiu człowieka przed niewielu nawet laty. Ale także ujawnia w całej pełni tę swoją wyższość, że można ją czytać nie będąc ograniczonym ani miejscem ani czasem. Książka daje możliwość utrwalenia wiadomości czy pogłębienia znajomości spraw, o których słyszało się w radio czy też oglądało na ekranie filmowym lub telewizyjnym.

Te wartość książki jej zasięg oddziaływania kulturalnego — Związek Młodzieży Socjalistycznej szeroko wykorzystuje w swojej działalności ideowo-wychowawczej wśród młodzieży. W Tezach na IV Krajowy Zjazd ZMS czytamy: **„...Książka jest jedną z podstawowych pomocy w naszej działalności wychowawczej, w naszej pracy kulturalnej i oświatowej...".**

W bieżącym roku Związek Młodzieży Socjalistycznej przeprowadza już po raz szósty Ogólnopolski Turniej Czytelniczy. Jest on pomyślany jako masowa, atrakcyjna impreza czytelnicza, której uczestnicy mają do spełnienia właściwie jeden tylko warunek — przeczytanie kilku dobrych, wartościowych książek oraz wymienienie na ich temat poglądów na zebraniu koła, w gronie słuchaczy Wieczorowej Szkoły Aktywu, Wszechnicy Społeczno — Politycznej, Klubie lub Uniwersytecie Robotniczym ZMS.

Współczesny świat jest światem burzliwych przemian politycznych, społecznych, kulturalnych. Każdy z nas staje przed nowymi sprawami i problemami, które wymagają wyjaśnienia. **To wyjaśnienie jest jednym z najistotniejszych zadań naszego Związku, które realizujemy poprzez różnorodne formy działalności. W zespole środków pomocnych w rozszerzaniu wiedzy o współczesnym świecie, tłumaczeniu jego zawiłych spraw, książka i prasa należą do najbardziej powszechnych i dostępnych.**

Turniej Czytelniczy proponując ciekawe książki i zapraszając do dyskusji nad nimi, stanowi również główną formę zetemesowskiej popularyzacji czytelnictwa. Dobre zorganizowanie dyskusji nad książką turniejową, oprócz wzrostu zainteresowania czytelnictwem, przyniesie także wzbogacenie jej uczestników o zawartą w książce, artykule prasowym, wiedzę i doświadczenie życiowe. Przekona też, że czytelnictwo jest jedna z najbardziej atrakcyjnych rozrywek i form wypoczynku.

W roku 1966 w IV Ogólnopolskim Turnieju Czytelniczym ZMS brało udział 6 800 młodzieży z naszego województwa, w tym 1 500 osób — to młodzież pracująca. W roku 1967 w V Turnieju Czytelniczym bierze udział 7 500 młodzieży województwa łódzkiego, w tym 2 100 osób młodzieży pracującej. Celowo podkreślamy udział młodzieży pracującej, która poprzez biblioteki zakładowe, własny zetemesowski kolportaż prasy i książki, dyskusje w kołach, włączyła się aktywnie do szerokiej akcji „Ludzi czytających". Dobra działalność w tym zakresie prowadzą powiaty: Zduńska Wola, Pajęczno, Radomsko oraz Łowicz. W bieżącym VI Turnieju Czytelniczym szczególnie eksponowanymi przez młodzież pozycjami, są: „Raport z Monachium" A. Brychta, J. Gerharda „Łowy w Bieszczadach", F. Księżarczyka „Droga w ogniu".

Pozostałe książki Turnieju to między innymi: J. Korczaka „Klucz do Berlina", J. Putramenta „Puszcza", W. Faulknera „Intruz", K. Pająkowej „Ucieczka od zapachu świec", M. Brandysa „Nieznany książę Poniatowski" i inne. W sumie — osiemnaście pozycji. Od listopada 1967 r. do kwietnia roku 1968 przeprowadzamy pierwszy etap Turnieju. **Bierze w nim udział młodzież pracująca, młodzież zasadniczych szkół zawodowych i szkół przyzakładowych.** Podczas dyskusji w kołach ZMS, młodzież wyraża własny pogląd, który nasuwa się podczas czytania lektury. Czy na przykład postawa określonej postaci z powieści może być przez nas w całości przyjęta i zaakceptowana? Czy zgadzamy się z poglądem autora na określoną sprawę? itp.

Drugi etap Turnieju (kwiecień — czerwiec 1968) **ma charakter rozrywki quizowej** przebiegającej w dwu częściach: pisemnej i ustnej. Obowiązuje znajomość trzech książek z zestawu. W etapie III — wojewódzkim, znajomość czterech książek zestawu turniejowego w m-cu październiku.

Wojewódzka organizacja ZMS ma w nich już swoje sukcesy. W ubiegłym roku przedstawiciel Zduńskiej Woli zajął zaszczytne III miejsce w kraju. Jak będzie w tym roku?

VI Turniej Czytelniczy trwa. Odbywają się dyskusje w kołach, toczą się spory o bohaterów książkowych, zetemesowski Teatr Publicystyczny z Piotrkowa recytuje „Raport z Monachium". Coraz trudniej dostać książki z zestawu Turnieju. ZMS czyta.

Jednak oprócz ważnej roli popularyzacyjnej czytelnictwa, jaką spełnia zetemesowski Turniej Czytelniczy, oprócz jego masowości, **ważną dla nas sprawą jest również jakość czytelnictwa wśród młodzieży.** O stanie czytelnictwa decyduje bowiem nie tylko ilość czytających, ale również jakość czytania. Jakość zaś uzależniona jest od umiejętności korzystania z książek i ogólnego poziomu kultury czytelników. Zarząd Wojewódzki ZMS prowadzi w tym celu zajęcia Wieczorowych Szkół Aktywu o profilu kulturalno-oświatowym ze szczególnym uwzględnieniem pracy z książką. W br. pracują 22 szkoły tego typu. Działalność prowadzą liczne koła Miłośników Książki, skupiające w swoim gronie również młodzież niezorganizowaną. Dużą pomocą w tej działalności są dla nas spotkania literatów łódzkiego oddziału ZLP, dziennikarzy, krytyków — z młodzieżą województwa.

W roku 1967 przeprowadziliśmy ponad 200 spotkań tematycznie związanych z książką, bohaterami literackimi, pracą pisarza, warsztatem literackim. W spotkaniach tych brało udział ponad 18 000 młodzieży.

Zdajemy sobie jednak sprawę że pełny sukces w tej działalności osiągniemy dopiero wtedy, kiedy z książką i imprezami czytelniczymi wejdziemy do wszystkich zakładów pracy, do instytucji, klubów, świetlic i mieszkań prywatnych młodzieży.

Ktoś kiedyś wyliczył, że gdyby wszystkie książki wydawane w Polsce w ciągu jednego roku ułożyć obok siebie na półkach bibliotecznych, to długość tych półek wyniosłaby ponad 2 tys. kilometrów, a więc prawie podwójną długość Wisły. Chodzi tylko o to żebyśmy częściej stawali przed tymi półkami, interesowali się ich zawartością, częściej sięgali po każdą następną książkę.

A tego sobie wszyscy bardzo życzymy, szczególnie w roku IV Zjazdu naszego Związku.

Francuscy specjaliści są zdania, że hałas nie przekraczający 30 decybeli jest dla człowieka znośny. Jeśli jednak dochodzi do 80 decybeli i działa przez czas dłuższy, wówczas rozstrój nerwowy jest czymś raczej normalnym. Ostatecznie człowiek ze stali nie jest, a tu hałas się wzmaga. Przecież już dziś jeden samochód przypada na 5 obywateli Francji. A gdzie owe ryczące motorowery, którymi zalane są ulice najmniejszych mieścin? Instytut Naukowy „Centre Scientifique et Technique du Bâtiment" w Paryżu opublikował najnowsze dane. Tylko 15 procent budynków we Francji zapewnia ochronę przed szkodliwym dla zdrowia hałasem. Wielu wyraża więc nadzieję, że nowe osiedle w Montargis jest zapowiedzią rewolucyjnego w budownictwie zwrotu. Składa się ono z 4 kilkunastopiętrowych wieżowców i kilku bloków 8-piętrowych. We wszystkich podłogi i sufity zmontowano z cementowych płyt o grubości 14 centymetrów. Środkiem każdej płyty biegnie „łoże z piasku" dla instalacji. Ściany, także sufity wyłożone są izolacyjną warstwą ze szklanych włókien i sztucznych filców. Prócz tego są impregnowane ziemną smołą. Zastosowano też płyty z polistyrenu. Wszędzie w punktach newralgicznych, zwłaszcza tam, gdzie ściany stykają się z podłogą lub sufitem, umieszczono „izolacyjne poduszki". Eksperyment z Montargis wzbudził we Francji duże zainteresowanie.

Przedsiębiorstwo budowlane „SADEC" otrzymało już zamówienia na budowę 1200 mieszkań nowego typu w Frejus, Orleanie i Lyonie.

Zapytajmy jednak, ile kosztuje takie mieszkanie? Trzeba chyba zacząć od stwierdzenia, że we Francji tanich mieszkań w ogóle nie ma. Wszystkie są drogie. Powiedziałbym nawet — są horrendalnie drogie. Symbolem tego, co tam uchodzi jako budownictwo socjalne, „social et humain", ma być osiedle „La Verriére Maurepas" pod Paryżem. Zapoczątkuje jedno z 9 dużych miast satelitarnych, które do 1980 roku zatoczą szerokie koło wokół stolicy Francji. W La Varriére Maurepas, obliczanym na 20 tysięcy osób, już wkrótce stanie 4 tysiące domków jednorodzinnych. Każdy pomieści 4 pokoje z kuchnią i będzie kosztował razem z ogródkiem 130 tysięcy franków, więc jakieś 26 tysięcy dolarów. Od razu przypomnienie. Według oficjalnych danych, przeciętny zarobek miesięczny wynosi obecnie we Francji 1100 franków. Inna sprawa, że wszelkie przeliczenia na złotówki i porównania większego sensu nie mają, gdyż nikt na dobrą sprawę nie wie jaką zastosować relację. Gdyby przyjąć, że dolar jest wart 100 złotych, jak tego pragną nasi waluciarze, a to jest czystym nonsensem, wówczas kilogram mięsa w Paryżu kosztowałby 300 złotych, gazeta 10 złotych, a bilet do metra 20 złotych — choć kosztuje franka. Fakt pozostaje wszakże faktem. Gdyby nawet frank przeliczyć po kursie najkorzystniejszym ze wszystkich możliwych, to i tak mieszkania we Francji pozostałyby czymś niesamowicie drogim.

Nie należą również do tanich eksperymentalne mieszkania w Montargis. Jeden metr kwadratowy powierzchni użytkowej kosztuje tam 800 franków, więc 160 dolarów. Za 3-pokojowe mieszkanie z wszystkimi wygodami i balkonem trzeba będzie w Montargis tyle zapłacić, ile za 10 nowiutkich volkswagenów. Toteż nowemu budownictwu o walorach „antyfonicznych" nikt na razie we Francji burzliwego rozwoju nie wróży. Nie ten jeszcze czas. Przyszłość jednak na pewno do takiego budownictwa należy. Po iluś tam próbach i eksperymentach uda się z całą pewnością wyprodukować tanie materiały o właściwościach antyakustycznych, a wtedy droga do autentycznego rozmachu w tej dziedzinie stanie się krótka i prosta.

Jaki z tego dla nas wniosek? Czekać z założonymi rękami? Czy może aktywnie włączyć się do wyścigu o tanie mieszkanie z prefabrykatów, które byłoby również antyakustyczne? Czy w ogóle wolno nam tracić kontakt z europejską czołówką? Myślę, że jakąś furtkę na przyszłość pora już dzisiaj uchylić. Na jakiś eksperyment w ograniczonym zasięgu można sobie chyba już teraz pozwolić. Ostatecznie postęp trzeba wdrażać w każdej dziedzinie. Oddaje się zabójczemu złudzeniu, kto sądzi, że ktokolwiek na tym świecie stoi w miejscu, kiwa nam ręką i czeka aż się podciągniemy.

Ciche, spokojne mieszkanko, w którym mieszka się tylko u siebie. Cóż to szkodzi trochę sobie pomarzyć.

Z teki Wacława Kondka

ULICA PIOTRKOWSKA

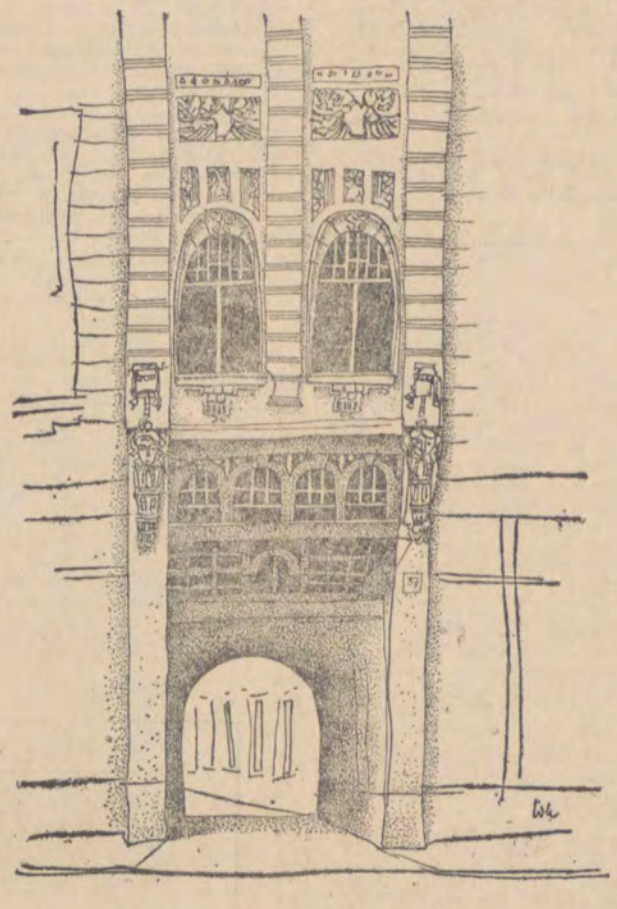

Nr 37

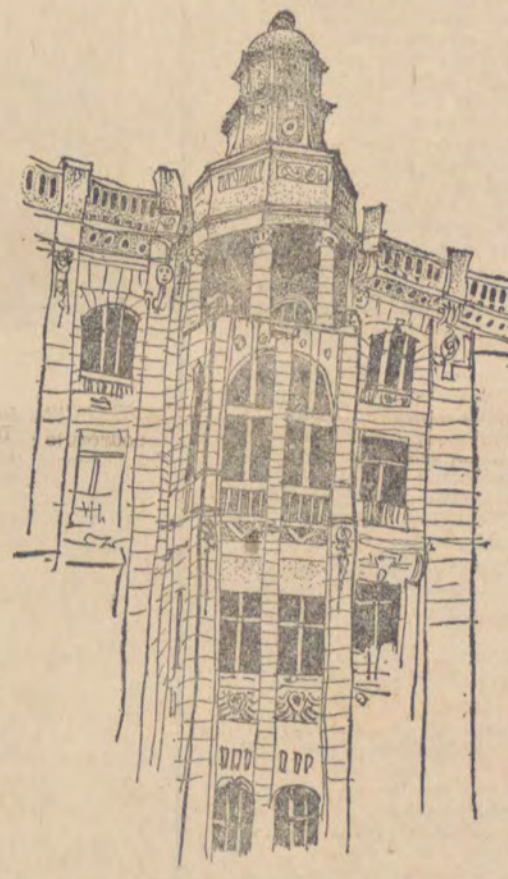

Nr 37

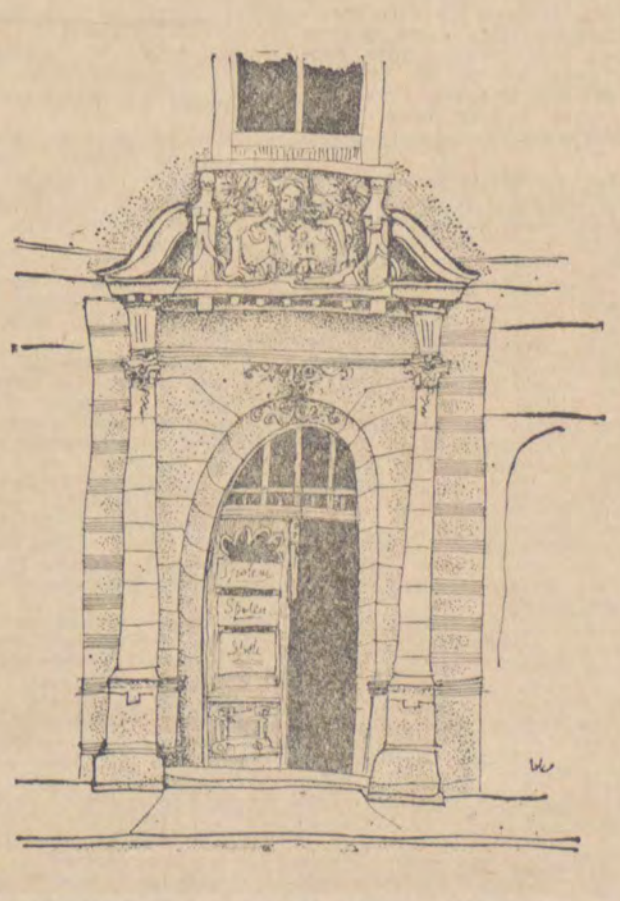

Nr 29

JAN HUSZCZA

Kobieta o złej sławie

Pochodziła z podupadłej rodziny ziemiańskiej. Matka, Ludwika z Wierzbickich, wywodziła się z Płockiego, jej córka Helena Petronela dwojga imion Majewska, urodziła się 19 maja 1828 roku w Starej Woli, w pow. rawskim. Wolno mieć pewność, że w rodzinie nie było dobrze widziane jej powołanie aktorskie. W teatrze chętnie klaskano, ale do aktorów, zwłaszcza zaś do aktorek odnoszono się lekceważąco. Po ukończeniu warszawskiej szkoły dramatycznej, dziewczyna w 1846 roku wyjechała do Wilna, gdzie rozpoczęła swoją krótką karierę.

Musiała być piękna i urokliwa, choć to niekoniecznie idzie w parze, czyta się o żywości jej usposobienia, o wyrazistych oczach, o wzroście raczej niskim, o regularnych rysach.

To pono jej późniejszy nieszczęśliwy kochanek miał o niej ułożyć żartobliwą fraszkę typu nagrobkowego:

Tu leży piękne ciało,
Bałamutka, jakich mało,
Lękajcie się wszyscy święci,
Bo i wam w głowie zakręci.

Mówiono, że czarnowłosa i czarnobrewa zdążyła przejść przez ręce prezesa Wileńskiej Izby Skarbowej nazwiskiem de Roberti i on to narail ją swemu urzędnikowi. Często wówczas tak się zdarzało, stary przykład upowszechnionego obyczaju dworów królewskich i książęcych.

A tym jej mężem został znany w dziejach naszego piśmiennictwa publicysta, redaktor i naukowiec — Adam Honory Kirkor. Tak, ten od osławionego „Albumu" wydanego „na pamiątkę pobytu najjaśniejszego cesarza Aleksandra II w Wilnie 6 i 7 września 1858 roku", w którym kompromitująco wystąpił zwłaszcza powszechnie na Litwie szanowany przyjaciel Mickiewicza, Odyniec.

Sam Kirkor, człowiek przedsiębiorczy i ruchliwy, czasem bezinteresowny i nie pozbawiony autentycznych zasług, musiał być w pożyciu domowym człowiekiem denerwującym, jeżeli i jego drugie małżeństwo z Celiną z Boczkowskich nie było trwałe. Może miewał wrzód w gębie, jak to się mówiło, a może wprost przeciwnie, był zrzędą.

Nie przez niego jednak złą sławę zyskała Helena Petronela. Śmiertelnie zakochał się w niej Ludwik Kondratowicz, czyli Władysław Syrokomla. Poeta w swoim czasie popularny i powszechnie wielbiony, aczkolwiek jako człowiek z wielu względów nieszczęśliwy.

21-letni poeta ożenił się z miłą panną bez posagu, Pauliną z Mitraszewskich.

W dzierżawionym Załuczu w ciągu jednego tygodnia stracili troje dzieci. Wolno przypuszczać, że był to dyfteryt lub szkarlatyna.

By zapomnieć, państwo Kondratowiczowie przenoszą się do Wilna. Poeta miał skłonności do alkoholu, był nerwicowcem, narzekał na turkot dorożek, tak jak my dziś narzekamy na traktory pykające przed oknami naszych mieszkań. Pisał łatwo i dużo, dobrze sprzedawał swoje utwory, ale był lekkomyślny i uczynny, wspierał liczną rodzinę, więc niemal zawsze towarzyszyły mu kłopoty materialne.

Według jednych Syrokomla zaczął poważniej interesować się panią Kirkorową jeszcze w 1855 roku, gdy ona miała lat 27, a on 32, według innych do dogłębnego uświadomienia uczucia doszło w 1857 roku. Zresztą, czyż nawet sam zainteresowany potrafiłby z przekonaniem ustalić moment pierwszego wyraźnego drgnienia serca. W dodatku temu drgnieniu musiało się przez jakiś czas przeciwstawiać czułe skądinąd sumienie.

Wkrótce sprawa staje się głośna, towarzyszą jej skandal i zgorszenie.

Biedna Paulina zapewne zalewa się łzami, gdy patrzy na wiersz kiedyś dla niej jako dla panny napisany:

Panil chcesz wierszy, chcesz wskrzesić ducha,
Którego tak dawno tłumię;
Dziewica każe, poeta słucha,
I spełnia rozkaz, jak umie...
Ja tylko wielbić jestem ochoczy,
Ja tylko umiem być czuły.

Będę uwielbiał anielskie oczy,
Choć mi spokojność zatruły...

O ile dzieje zewnętrzne miłości mało zostawiły śladów, o tyle dysponujemy wieloma wypowiedziami, dotyczącymi duchowego stanu poety. Nie tylko w wierszach.

Poematem „Stella Fornarina" opiewającym miłość Rafaela do córki piekarza Stelli, napisanym w 1858 roku, poeta próbował siebie usprawiedliwić, ale tym większe wywołał oburzenie.

...Ale wiek przyszły, choć późną zapłatą,
Pamięci Stelli winnych dzięk udziela —
Pokrył jej imię niewinności szatą;
Ona natchnieniem była Rafaela!

Pisał Adam Plug w liście: **„Co do Syrokomli... Biedny obłąkaniec! Oby Bóg swym cudem wyrwał go z tej przepaści, w którą tak się rzucił na oślep!!!"**

Tymczasem te lata stają się coraz bardziej powikłane i chaotyczne, ich treścią są same sprzeczności. Pisze kto inny:

„...pod wpływem chwilowego uczucia, porzuciwszy męża dla Syrokomli, odegrała ona smutną rolę w życiu zakochanego poety, stając się przyczyną jego nałogu, choroby i śmierci".

Ciężkie to oskarżenia. Flirt na pewno nie uchodził w oczach pani Heleny za coś zdrożnego. Przyzwyczajona do odgrywania rozmaitych ról i do uznania, także i w życiu nie musiała się liczyć ze wstrzemięźliwością gestu, pobudzającego spojrzenia, z kokieteryjną nutą w głosie.

Co dla niej mogło być przelotnym romansem, to samo w wyraźny sposób dramatycznie zaciążyło nad dalszym krótkim życiem świetnego poety.

Jeździ za aktorką, szukając okazji do spotkań.

Piotrków Trybunalski staje się miastem nieszczęścia. Tu się widzą po raz ostatni. Przychodzi depesza o ciężkiej chorobie ojca poety. Pogodny, napełniony czerwienią jarzębin, koniec sierpnia 1858 roku. A tu trzeba jak najśpieszniej wracać do Wilna.

Teatr, powiedzmy: trupa teatralna wróciła do Krakowa, przedtem zaś Syrokomla otrzymał list ostatecznie z nim zrywającej Heleny. W to ostateczne zerwanie poeta nigdy nie uwierzy, ale złudzenia to nie rzeczywistość.

Nie całkowicie urywa się kontakt. Jeszcze ofiarny nieszczęśnik pisze na prośbę Heleny sztukę, którą wysyła jej do Krakowa.

Należy podkreślić, że pani Helena nie była aktorką z przypadku. Estreicher w dziele „Teatra w Polsce" tak relacjonuje sprawozdania gazet krakowskich z 1858 roku, rozpoczynając od sztuki Wiktora Hugo „Angelo".

„...Ostatnią sztukę podniosła gra niezwyczajna artystki przybyłej z Wilna pani Kirkorowej—Majewskiej, która poprzedziła już sława uroku, jaki miała wywrzeć na poetę Syrokomlę. W tragedyi tej pani Majewska zwracała wyłącznie uwagę widzów...

Drugi występ pani Majewskiej w dramacie Birchpfeifrowej: „Esmeralda" w roli tytułowej równe miała pierwszemu powodzenie... Gra pani Majewskiej wyróżniała się od gry innych artystek wielką naturalnością, spokojem i cieniowaniem. Bez szamotania się i krzykliwości osiągała większe efekta niż inne artystki, które grywały, wyszukując efekta gwałtownością dykcyi i siłą akcyi...".

Syrokomla umiera młodo, w 1862 roku, nie doczekawszy się wielkich wydarzeń narodowych, których był pobudzicielem.

A co z Petronelą Heleną?

Zbliża się czas, który wyznaczy jej miejsce wśród najbardziej ofiarnych Polek. Znajomi za wcześnie widocznie ją osądzili. A może ten osąd, ujawniany przecież publicznie, wpłynął na późniejsze jej postępowanie? Kochanką mogła być płochą, obywatelką w pełni odpowiedzialną. Kto wie, czy Syrokomla nie wydawał się jej w swoim czasie bliższy niż Kirkor, może i dlatego, że głosił postępowe poglądy? Nie umiała poświęcić się jednemu mężczyźnie, ale wzięła udział w najważniejszych wydarzeniach narodowych, związanych z osobą dyktatora powstania styczniowego, Romualda Traugutta.

Z konspiracją zetknęła się wcześniej, przed Trauguttem. Kontaktowała się zwłaszcza z poetą Tadeuszem Komarem.

Po wybuchu powstania zostaje kurierką, wozi depesze i pieniądze, przekazuje ustne zlecenia, była w Krakowie i nawet w Wilnie.

Mieszkanie dla Traugutta przy Smolnej wynajmuje wybitny konspirator, zajmujący różne wysokie stanowiska, Wacław Przybylski. Jego brat dr Karol odegra smutną rolę w dekonspiracji dyktatora i otoczenia, tak różny przebieg miewały losy ludzi sobie bliskich, warto tutaj dodać, że Jan, brat Heleny, i w czasie powstania pozostał w wojsku rosyjskim jako kapitan.

Wprowadzają się do tego domu w dniu 1 listopada 1863 roku. Dom zburzono w 1910. W setną rocznicę wybuchu powstania Pomorska Dywizja Piechoty położyła kamień pamiątkowy swojemu patronowi: „Tu stał dom, w którym mieszkał i został aresztowany nocą 11/12. IV. 1864 gen. Romuald Traugutt...".

Będzie więc pani Helena dla potrzeb konspiracji utrzymywać „pokoje umeblowane" w piętrowym samotnie stojącym warszawskim domu przy ulicy Smolnej Dolnej w dość wówczas odludnej dzielnicy, by mógł tam mieć kwaterę liczący lat 37 „przedstawiciel firm krakowskich i szwajcarskich Michał Czarnecki", czyli dyktator Traugutt.

Te pokoje umeblowane na piętrze były konspiracyjnym pozorem, w domu mieszkała Kirkorowa „kobieta lat średnich" z sześcioletnim synkiem, czy też wychowankiem Władysiem — z siedemdziesięcioletnią matką. Istnieje domniemanie, iż Władyś był nieślubnym synem Syrokomli. Choć było drugie wejście, na wszelki wypadek do Traugutta wchodziło się przez mieszkanie Kirkorowej. Wchodzili zresztą nieliczni, m. in. i Wacław Przybylski, dobry znajomy Syrokomli i, być może, jeden z jego konkurentów.

W tym miejscu wypada przede wszystkim powołać się na pracę o dyktatorze jego b. współpracownika, Mariana Dubieckiego.

„P. Kirkorowa o prawdziwem nazwisku dyktatora i jego rzeczywistym stanowisku w pracach powstańczych nie była świadoma. Jeżeli takiego wysokiego stanowiska swego lokatora domyślała się ta inteligentna i sprytem niepospolitym obdarzona kobieta, to chyba już znacznie później, w ostatnich (dniach) jego i swej zarazem wolności, w każdym jednak razie owo domyślanie się bardzo ogólnikowem być musiało...

Kirkorowa stawała z męstwem prawdziwie kraj swój kochającej Polki, by od wiadomości władz ros. wszystko ocalić, co najwięcej ocalić...

Wkrótce po uwięzieniu Traugutta, uwięziono Kirkorową, później jej przeszło siedemdziesięcioletnią matkę, która, nie mając gdzie zostawić 6-letniego wnuka, wzięła go z sobą na „Pawiak", i wreszcie całą służbę z domostwa na Smolnej zabrano, służba, parę miesięcy trzymana w więzieniu, bita, poniewierana, żadnych wskazówek nie dostarczyła dla inkwizytorów...".

Petronelę Helenę skazano na osiem lat ciężkich robót, odbyła tak znaną w dziejach Polski drogę etapami na Sybir.

Gdy zabrano tragicznej nocy Traugutta, p. Helena jeszcze miała czas, mogła opuścić dom, gdyż po nią policja przyszła dopiero następnej nocy, ona jednak najpierw szukała kontaktów, by donieść o wypadku, by ostrzec, by zatrzeć ślady — ocalenie dyktatora jeszcze i w więzieniu miała przede wszystkim na uwadze, chociaż „męczono ją bardzo w czasie śledztwa".

Warszawę opuszczono 10. VIII. 1864 roku. Jechała wraz z wybitnym późniejszym uczonym, w następstwie badaczem Syberii bajkalskiej, Benedyktem Dybowskim, pannami Barbarą i Emilią Guzowskimi, wnukiem ojca sceny narodowej Władysławem Bogusławskim i innymi.

Grupa liczyła około 50 osób.

Przed dworcem kolejowym czekał na skazańców współczujący w milczeniu tłum, na dworcu bliscy i znajomi, z którymi wolno było się pożegnać, bo to jednak działo się w wieku dziewiętnastym.

Petronela Helena po raz ostatni widziała się z matką. Otrzymała zapewne trochę rzeczy, gorzej było z pieniędzmi. W przyszłości katorżniczka będzie wysyłała krwawo zapracowane ruble i kopiejki dla Władzia i starej Majewskiej.

Przed Ekaterynburgiem ujrzeli wielkie słupy z napisami: od zachodu „Europa", od wschodu „Azja".

Jechali w kibitkach, wózkach wytrząsających wnętrzności.

W Tobolsku przebrano Kirkorową w strój katorżniczy.

Dziewięcioosobowa grupa, w której znajdowała się i Kirkorowa, wybrała dla siebie Usolie, oddalone o przeszło 70 wiorst od Irkucka, pracę w warzelni soli.

Po jakimś czasie znalazł się tutaj i przyjaciel Syrokomli, w czasie powstania styczniowego prezes Wydziału zarządzającego prowincjami Litwy, Jakub Gieysztor. Nawet tutaj ten dzielny i surowy człowiek nie mógł dobrym okiem patrzeć na tę, która wedle jego przekonania uwiodła poetę.

Amnestii z kwietnia 1866 roku z racji zaręczyn następcy tronu i amnestii z maja 1867 roku zawdzięcza Helena Petronela zmniejszenie kary, a następnie prawo do zamieszkania w Irkucku.

W chwilach, gdy odczucie niedoli stawało się wyjątkowo ostre i dolegliwe, a świadomość bezsilności tylko je pogłębiała, prosiła Boga o rychłą śmierć. Choćby właśnie tutaj, w Usoliu, gdzie na cmentarzyku niezbyt trwałym śladem stawały się drewniane krzyże.

Na co dzień, gdy wynikały scysje, niektórych bowiem tylko na krótko porwał patos chwili i przykład innych, gdy widziała różnice nawet w doli zesłańców, a występowały one niekiedy w sposób jaskrawy, gdyż niektórzy otrzymywali pomoc od dalekich rodzin — nie miała do nikogo żalu, czuła się jedną spośród tysięcy „pracowników niepodległości", którzy spełnili i spełniają dobrowolnie przyjęty ciężki obowiązek, aby nikt uczciwy o sprawie nie śmiał zapomnieć.

Potem z upływem lat wydarzenia i przejścia zmatowiały, stały się jak gdyby mniej osobistymi — wszystko zbiegło się w uległości innemu obowiązkowi, prostemu ludzkiemu obowiązkowi życia do końca, zauważanego może przez obojętnie nad śnieżnymi przestrzeniami migocące gwiazdy.

W Irkucku Helena przeżywa jeszcze jeden dramat. Wątpić należy, by większe wrażenie sprawiła na niej wiadomość, iż po uzyskaniu rozwodu Adam Honory ożenił się ponownie. Chodzi o co innego. Zapewne nie tylko ze względu na chęć zarobku ex-katorżniczka spróbowała występów w irkuckim teatrze u entreprenera Krauzego. **„...na pierwszym przedstawieniu wybrała rolę młodej dziewczyny, wcale dla niej nieodpowiednią. Doznawszy okropne fiasco, wysykana przez publiczność, musiała wyrzec się tego chleba i entreprener nie odważył się zatrzymać jej...".**

Zalewając się łzami w samotności, wspominała z niedowierzaniem dawne swoje sukcesy. Ryzykując występ na scenie, nie pamiętała iż od Krakowa dzieli ją nie tylko odległość, ale lata i to jakie! Jeszcze raz poczuła się jak ryba wyrzucona na pożylkowany lodem piasek.

Wyszła za mąż za Antoniego Piórę-Dembińskiego, ziemianina-skazańca z Mohylewszczyzny. Łatwo wyobrazić sobie, że w większym stopniu było to przymierze ludzi zmęczonych i w podobny sposób doświadczonych, niż miłość.

Dokładnie nie wiadomo, kiedy wróciła z mężem w jego rodzinne strony.

Zamieszkali w majątku Pióromont, czy majątek mógł wtedy należeć do męża, również nie wiadomo. Przecież na ogół własność więźniów stanu konfiskowano. Odwiedziła Wilno, rozmawiała z Kirkorem. Po owdowieniu zamieszkała w Witebsku, gdzie zmarła 5 stycznia 1900 roku. Mało kto wtedy już o niej pamiętał, ona zaś nie raz musiała myślami wracać między ludzi, którzy na długo przed nią stali się dręczącym lub rzewnym wspomnieniem.

(Ze szkicu „Owidiusz na Polesiu", który ukaże się w książce pt. „Łup Sybiru", nakł. Wyd. Łódzkiego).

ROBERT GLUTH

Portret żony drwala

1.

Mówiłeś: nie porzucę...
Dlaczego odchodzisz?
Drzewa przy drodze rosną
pola obce i puste...

drapieżne obłoki z góry
spadają
bledną w oczach
cicho idą po ziemi
zginają ostre pazury.

2.

...Gdy odchodził — drzewa rosły
przy drodze
drzewa rosły
gdy był punktem dalekim
gdy był śladem na zakręcie
w niewidoczne —
drzewa rosły
drzewa rosły
drzewa rosły...

3.

Nie odnajdą mnie na gałęzi
nieruchomym ptakiem — bezlotkiem
— wiatr gałęziami telepie
taki wiatr!
on ciałami kolebie — —

nadaremnie czyhają obłoki
— ja mam brzuch
co to mówią:
ciężarny — brzuch

napięty rozkrzyczany
wierzgający —

Trzeba ciałem
brzuch od wiatru osłonić
od złych cieni
od mgły porannej...

4.

A niech — że cała noc
rozkrzyczy jak wielkie zwierzę —
nie wierzę w żaden głos
— jeno w ten
co go trzeba nakarmić...

JAN KOPROWSKI

Niemcy i Polacy

Kierownik księgarni „Pegaz", Jan Gierańczyk, powiedział mi, że książka ta „idzie słabo". Bardzo się zdziwiłem, albowiem wydaje mi się, że jest to jedna z najciekawszych pozycji, jakie się ostatnio ukazały, szczególnie cenna dla polskich czytelników. Mówię o powieści Johannesa Bobrowskiego „Młyn Lewina", wybornie przetłumaczonej przez Marię Kurecką i Witolda Wirpszę. Kim jest autor i o czym traktuje ta książka?

Przed trzema laty, podróżując po Niemieckiej Republice Federalnej, przeczytałem pewnego dnia w gazecie „Kölner Stadt-Anzeiger" wywiad z Johannesem Bobrowskim. W wywiadzie tym zwrócił moją uwagę następujący passus. Na pytanie dziennikarza, jacy pisarze byli dla niego wzorem, Bobrowski wymienił Klopstocka, Möricke'go, Roberta Walsera i dodał na końcu: „Ponadto przywiązany jestem do mojego legendarnego przodka — Józefa Conrada. Od niego mogę się wiele jeszcze nauczyć, zwłaszcza jeśli chodzi o technikę perspektywy w powieści". Z wyznania tego wynika jasno, że pisarz niemiecki Johannes Bobrowski pochodził z rodziny polskiej (przypomnijmy, że matka Conrada była z domu Bobrowska). Obiecałem sobie, że do Bobrowskiego napiszę, by poprosić pisarza o bliższe wyjaśnienie jego pokrewieństwa z Conradem. Nie zdążyłem, gdyż 2 września 1965 roku Johannes Bobrowski zmarł nagle w Berlinie, na skutek spóźnionej operacji wyrostka robaczkowego. Do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że spóźniłem się ze swoim listem i nie nawiązałem kontaktu z pisarzem, dla którego temat polski stał się prawdziwą obsesją.

Johannes Bobrowski urodził się 9 kwietnia 1917 roku w Tylży nad Niemnem i wychowywał się w środowisku mieszanym polsko-niemiecko-rosyjskim. Studia odbywał w Królewcu, po wojnie zamieszkał w NRD, książki jego ukazywały się w obydwu państwach niemieckich. Pozostawił po sobie kilka zbiorków wierszy (jeden pod znamiennym tytułem „Sarmatische Zeit"), wśród których znajdują się utwory poświęcone Mickiewiczowi i Conradowi, dwa tomy opowiadań i dwie powieści. Największy rozgłos przyniósł mu właśnie „Młyn Lewina", wydany obecnie po polsku w pięknej Czytelnikowskiej serii „Nike". Akcja powieści Johannesa Bobrowskiego dzieje się w r. 1874 na Ziemi Chełmińskiej. Zresztą autor sam określa jej miejsce pisząc na stronie 41, że jest to „kąt pomiędzy Toruniem, Wąbrzeznem a Brodnicą, gdzie Drwęca, spływająca od północnego wschodu, z powiatu lubawskiego, wpada do Wisły na południe od Torunia". Bobrowski dodaje wprawdzie, że rzecz ta mogła by się równie dobrze dziać gdzie indziej (na przykład w okolicach Ostródy), ale to tylko dlatego, aby podkreślić wspólnotę i podobieństwo losów ludzkich w ogóle. Bo „Młyn Lewina" osadzony został mocno w określonych realiach czasowo-historycznych i geograficznych. Jest to teren pogranicza, styk kultur, współżycie wielu narodowości, głównie jednak Niemców i Polaków, konflikty i wzajemne nieporozumienia. Osnowę akcji powieści stanowi zatarg pomiędzy niemieckim właścicielem młyna a jego polskim konkurentem, który osiedlił się pół kilometra dalej, nad tą samą Drwęcą, i również założył młyn, zwany właśnie „Młynem Lewina". Nie jest to jednak powieść tradycyjna, oparta na wypożytkowanych wzorach prozy dziewiętnastowiecznej. Bobrowski mieszą czasy i wydarzenia, nie dba o rozwój tzw. intrygi, bogactwo jego utworu polega na tym, że z drobiazgową, powiedziałbym nawet: podziwu godną wnikliwością przedstawia codzienne życie ludzi różnych narodowości, zdanych na ciągłe obcowanie ze sobą. Zdumiewa plastyka opisu, oszałamiająca wprost pamięć szczegółu i konkretu, widoczna także w swoistej urodzie języka, zdolność snucia opowiadania. Bo, mimo zastosowania bardzo nowoczesnej techniki pisarskiej, Bobrowski nie zrywa całkowicie z narracją powieściową. We wspomnianym już wywiadzie powiedział on: „Myślę, że opowiadać prozą znaczy i pozostanie właśnie o p o w i a d a ć". A dalej w tymże wywiadzie: „Obawiam się pewnej stagnacji prozy, jeżeli pozostaniemy w obrębie dotychczasowej niemczyzny literackiej. I dlatego zadałem sobie trud, aby wprowadzić do mojej prozy zwroty ludowe, codzienne, język potoczny aż do żargonu włącznie, czyniąc ten język bardziej żywym, swobodnym i barwnym". Trzeba powiedzieć, że zamiar ten powiódł się całkowicie w „Młynie Lewina". Nie ulega kwestii, że nie powstałby tak barwny i jędrny język, gdyby Bobrowski wychował się w środowisku wyłącznie niemieckim. Potoczność i ludowość języka niemieckiego pisarza ma w sobie coś z naszej polszczyzny. Zresztą Bobrowski przełamał również składnię, wdarł się w tak, zdawałoby się, nie naruszalną, niemiecką „Satzbildung". Nasuwają się tutaj analogie z Conradem, który wniósł do angielszczyzny coś polskiego, czy z ziomkiem Bobrowskiego — Günterem Grassem, gdańszczaninem, Polakiem po kądzieli, w którego twórczości panuje obsesja tematu polskiego, a i język odbija od sklasycyzowanej niemczyzny. Powiedziałem, że „Młyn Lewina" ma dla nas, Polaków szczególne znaczenie. Otóż tak, bo napisany został z pozycji wielkiej życzliwości dla naszego narodu, co w piśmiennictwie niemieckim nie było znowu zjawiskiem nazbyt częstym. Przy czym rzecz znamienna: występują tu Niemcy, którzy mają nazwiska typowo polskie, i Polacy, którzy mają nazwiska typowo niemieckie. Kossakowski, Tomaschewski, Królikowski, Barkowski, Ragolski, Kaminski to Niemcy, a German, Leberecht, Habedank, Lewin to Polacy. Życie miesza wszystko w swoim tyglu, a historia dopomaga mu jak może. Bobrowski potrafił, jak rzadko który z pisarzy niemieckich (jak właściwie nikt) pokazać te związki i zazębienia sąsiedzkie zarówno w złym jak i w dobrym.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć jeszcze jeden fragment z wypowiedzi pisarza. Precyzując swoje literackie zainteresowania, powiedział on: „Mój główny temat to próba pokazania nieszczęsnego i pełnego winy stosunku Niemców do swoich wschodnich sąsiadów, aż po najnowszą przeszłość, i przyczynienie się do przełamania tendencji odwetowych". Piękne i odpowiedzialne zadanie. Jaka szkoda, że Johannes Bobrowski już nie żyje i nie będzie mógł kontynuować twórczości literackiej o wybitnych walorach humanistycznych i artystycznych, które zademonstrował w „Młynie Lewina".

Fot. Müller Ferenc.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Czy stawać na głowie?

„Człowiek w szufladzie" Henryka Czarneckiego, trzecia z kolei książka tego autora, ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Autor proponuje czytelnikowi, aby stanął na głowie i czytał przez odwracającą soczewkę jego tekst, a wtedy uzyska pełną satysfakcję. Myślę, że to przesada właściwa młodym ludziom, na głowie stawać nie trzeba, aby tekst Czarneckiego zrozumieć, odczuć satysfakcję, jeśli się będzie podobał, lub też jej nie odczuć w wypadku przeciwnym.

Biorę pod uwagę oba przypadki, podoba — nie podoba, gdyż ten typ prozy należy do tak zwanych „amatorskich", jak trafi na amatora, to się amator zachwyci, będzie w pełni usatysfakcjonowany, a jak nie to nie.

Co do mnie odczuwam w równej mierze niepokój jak i satysfakcję. Czarnecki debiutował w „Czytelniku" — „Listami do pana Popielniczki", dwie następne książki wydał już w Wydawnictwie Łódzkim. Są to „Śmierć krowy" no i „Człowiek w szufladzie". Ostatnia wydaje mi się najlepsza i to właśnie mnie niepokoi. Niepokoi dlatego, że są to książki w tej samej konwencji, trochę w nich z Mrożka, trochę z Afanasjewa i dużo, coraz więcej Czarneckiego.

Leży sobie pacjent w szpitalu — to oczywiście pretekst. Leży i powtarza uporczywie, że człowiek lubi szufladę, chce być niejako w towarzystwie starannie poukładanych rzeczy, może sam chce być taką rzeczą ułożoną na miejscu. Autor, jak sądzę, ma tu na myśli, niebezpieczną tendencję do konwencjonalizowania się człowieka, przyporządkowania go określonym konwencjom. A, że chce im się przeciwstawić — kreuje dowolnie poukładany świat skojarzeń pacjenta przed i po operacji. Kiedy obracamy kalejdoskop — nigdy nie wiemy jakie misterne kwiaty przyjdzie nam za chwilę oglądać. Kiedy odtwarzamy swoje własne życie — okazać się może całe, niesłychane wprost bogactwo faktów, zdarzeń, odczuć. Nie są one poukładane na wzór szuflady, gdzie wszystko jest grzecznie i celowo porozmieszczane, lecz kojarzą się na zasadzie swoistej, przedziwnej logiki, bardzo dalekiej od tej racjonalnej, potocznej i przez to właśnie piękne. Istnieje więc w człowieku świat, który dałby się porównać do starego, zagraconego strychu. Jakże chętnie skradamy się na ten strych, jesteśmy gotowi zaryzykować nawet tęgie lanie, byle tylko wolno nam było grzebać w tych skarbach, porzuconych bez ładu i składu, doznawać olśnień, o które w życiu realnym tak bardzo trudno. Taki właśnie świat ewokuje z samego siebie ów pacjent.

Czarnecki doszedł, jak sądzę, do pewnej granicy, po jej przekroczeniu niewiele już chyba będzie możliwe. Chcę przez to powiedzieć, że napisał książkę dobrą, zabarwioną humorem i czystą liryką, lecz przecież i w kalejdoskopie po jakimś czasie figury zaczną się powtarzać, jeżeli będziemy nim zbyt długo obracać. To właśnie mnie niepokoi, obawiam się, że czwarta książka, zbudowana na tej samej zasadzie, proponująca niezmiennie to samo widzenie świata, może oznaczać jakieś zatrzymanie się w miejscu. No, ale — jak wiadomo — niczego nie udzielamy tak chętnie jak rad, więc może poprzestanę na pochwale wraz z niepokojem.

*) Henryk Czarnecki — „Człowiek w szufladzie". Wydawnictwo Łódzkie, 1967.

Tele-obiektyw

GODZINA TELEPATII

Z telepatią rzecz nie jest taka prosta.

Oświecony wiek XIX odrzucał wszystko, czego nie można było dojść na drodze naukowej, jako zabobon i bzdurę. Nasz wiek XX zwiększył wobec poprzednika sumę wiedzy, ale stracił na rezonie. Już dziś mniej skorzy jesteśmy do zaprzeczania istnieniu pewnych zjawisk na tej jedynie zasadzie, że nie umiemy ich sobie wytłumaczyć.

Telepatia leży w sferze niezbadanej przez naukę, choć nieśmiało przebąkuje się na temat ewentualnego istnienia jakichś emitowanych przez człowieka fal, tak słabych, że tylko szczególnie wrażliwi osobnicy mogą je wyczuwać i spełniać jak gdyby rolę stacji odbiorczej. Znany w Polsce przedwojennej i w pierwszych latach okupacji inżynier Ossowiecki miał niewątpliwe zdolności telepatyczne, których nigdy nie używał dla celów komercjalnych.

Nie czuję się na siłach bardziej zagłębiać się w te sprawy, a zresztą w Tele-obiektywie winienem pisać o tele-wizji, a nie o tele-patii. W pewnej mierze jestem jednak usprawiedliwiony.

Telewizja nadała mianowicie w dniu 22 stycznia film telewizyjny produkcji NRD pt. „Godzina duchów", poświęcony osobie Bucheli, zwanej „Vorsagerin von Bonn", czyli jasnowidzącą z Bonn. Realizował go ten sam zespół pod kierunkiem Waltera Heynowskiego i Gerharda Scheumanna, który ma na swoim koncie znakomity demaskatorski film pt. „Uśmiechnięty mężczyzna" (Der lachende Mann") o zbrodniczym Kongo-Muellerze.

Nowa pozycja filmowa tego samego zespołu jest rewelacją, uzmysławiającą w pełni, czego dokazać może inwencja reporterska sprzężona z kamerą. Dlatego warto pogwarzyć trochę na jego temat. Dla porządku stwierdźmy, że „Godzina duchów" (podobnie zresztą jak „Uśmiechnięty mężczyzna") nie jest filmem sensu stricto. To raczej publicystyczny program telewizyjny. Niewielkie wstawki ukazujące gmachy rządu federalnego w Bonn, lub otoczenie willi Bucheli nie zmieniają faktu, że chodzi tu o wywiad przed kamerą.

Nie znaczy to, że chcę wartości tego dzieła telewizyjnego cokolwiek ująć. Jest ono w swojej konwencji majstersztykiem.

Przewrotność pomysłu „Godziny duchów" polega na tym, że przez długi czas nie orientujemy się w intencjach autorów. Buchela jest dość stara kobieta o żywej, na pozór dobrodusznej twarzy. O swoich rzekomych talentach okultystycznych mówi z przekonaniem, a o swoim wielkim powodzeniu wśród klienteli z całej Niemieckiej Republiki Federalnej i o swoich płynących stąd dochodach — bez cienia zażenowania.

Reporter prowadzący wywiad wydaje się przyjmować wszystko za dobrą monetę. Tak jest. Pani Buchela nie pyta klientów o nazwisko ani o żadne szczegóły. Wystarczy, że popatrzy komuś w oczy, a już zaczyna działać jak najczulszy radioodbiornik. Wie o kliencie wszystko, udziela mu zbawiennych rad. Nikt nie wychodzi z domu bońskiej Pytii zawiedziony.

Po jakimś jednak czasie pytania reportera zaczynają niemal niepostrzeżenie nakierowywać rozmowę na sprawy polityki. Oczywiście, polityki widzianej oczyma jasnowidzącej z Bonn. Przecież zna się na tym, zamieszcza w prasie sążniste prognozy przewidujące rozwój sytuacji międzynarodowej. Skąd czerpie niezbędne informacje? Czy coś na ten temat czyta? Nie. Ogląda... widokówki z różnych krajów i wróży na ich podstawie.

Naiwność Bucheli zręcznie prowokowana przez reportera telewizyjnego zaczyna odsłaniać szalbierstwo. Ktoś podsuwa Bucheli te polityczne prognozy. Komuś zależy, żeby takie a nie inne przewidywania poszły w świat. Kto? Sporo poszlak wskazuje na ambitnego ministra federalnego Straussa, który bynajmniej nie zrezygnował z marzeń o fotelu kanclerskim...

Były kanclerz Erhard? Tak, bywał u Bucheli, podobnie jak wielu innych prominentów polityki bońskiej. Radził się jej w wielu sprawach państwowych. A za ostatnim razem Buchela poradziła mu, żeby się podał do dymisji. Widocznie wyczytała w jego oczach, że to człowiek politycznie skończony...

Te bońskie poszukiwania recept politycznych u chiromantek mają swoją tradycję. Przecież był to jeden ze sposobów, jakim otoczenie Hitlera usiłowało wpływać na decyzje zabobonnego Führera.

I tak dzięki finezyjnie przeprowadzonemu interview udało się telewizji NRD wedrzeć za kulisy kompromitujące politykę bońską. Kongo — Mueller podobno sądził, że udziela wywiadu telewizji zachodnioniemieckiej. Dlatego był cynicznie szczery. Czy Buchela zdawała sobie sprawę, do kogo mówi? Nie wiem. Z pewnością nie zdawała sobie sprawy ze skutków swoich zwierzeń i z demaskatorskich intencji autorów filmu. Tu nadprzyrodzone zdolności zawiodły. Dzięki temu otrzymaliśmy program w najwyższym gatunku, szkoda tylko, że nadany przez naszą telewizję o dość niefortunnej porze, po zakończeniu spektaklu Teatru TV, kiedy znaczna część widzów wyłącza odbiorniki.

Ten typowo telewizyjny program zakończyli autorzy dowcipem świadczącym o wysokiej kulturze. Zapytali mianowicie Buchelę, czy ich film będzie miał powodzenie. Pytia odpowiedziała, że ponieważ ekipa składa się z siedmiu osób, korzystny dla filmu będzie rok 1967. A w ogóle szczęśliwe dla realizatorów będą dwie liczby: 7 i 4. Końcowa plansza filmu mówi, że został on po raz pierwszy zaprezentowany na IV Zjeździe SED i że ekipa otrzymała za film w 1967 r. wysoką nagrodę....

Władysław Krowny

POLETKO TELE— OBIEKTYWU — Nr 7

ZAŻALENIE. Tym razem jedno tylko zażalenie i to pod adresem Czytelników „Odgłosów". Poletko bez pomocy Czytelników jest jak grunt spieczony słońcem i pozbawiony wilgoci. Nic na takim gruncie nie wzejdzie. Powtarzamy więc znowu apel: Piszcie do PTO! Zgłaszajcie pretensje do programów TV! **W. O.**

Michael Cacoyannis wreszcie przemówił

Tytuł „Michael Cacoyannis wreszcie przemówił" zapowiedział w prasie francuskiej, pierwszy wywiad z greckim reżyserem, zaliczanym do wielkich twórców dzisiejszej kinematografii, autorem „Elektry" i „Grека Zorby" oraz paryskiej inscenizacji „Trojanek" Sartre'a w T.N.P. Cacoyannis mówi o swoim ostatnim filmie, którego premiera odbyła się w Paryżu. Do momentu premiery nikt nie wiedział co to jest za film i Cacoyannis nie udostępnił prasie żadnych materiałów reklamowych. Zdradził jedynie, że akcja filmu rozgrywa się na greckiej wyspie Kares w 1972 r., w fantastycznych, papierowych, przez niego samego projektowanych kostiumach. Sam tytuł filmu był bardzo dziwny: „Dzień, w którym wypłynęły ryby". Dziennikarka filmowa Marie-Francois Leclerc wykorzystała krótki pobyt w Paryżu greckiego reżysera i niespodziewanie odkryła, że tajemniczy Cacoyannis jest sama życzliwością i rozmownością, oczywiście, na kilka dni przed premierą filmu. O samym filmie nic jednak ważnego nie powiedział.

Mój film wcale nie jest tajemniczy. Tajemniczym uczyniła go dopiero ciekawość innych. Miałem oryginalny scenariusz i nie widzę powodu, dla którego ludzie mieliby wiedzieć co dziać się będzie w filmie na długo przed obejrzeniem go. Jest to dziwaczna moda. W czasie kręcenia filmu zjawiali się dziennikarze, prawdziwi i fałszywi i proponowali aktorom, odprzedaż scenariusza za ogromne sumy. Bezskutecznie — aktorzy bowiem sami nic nie wiedzieli. Chciałem, żeby byli autentycznymi postaciami w tym filmie: żeby żyli z dnia na dzień i nie wiedzieli co stanie się jutro.

Główne role grają Tom Courtenay i Candice Bergen. Ta sama Candice, która wystąpiła obok Yvesa Montanda i Annie Girardot w filmie Claude Lelouche'a „Żyć, aby żyć". Odkryła ją przypadkiem moja siostra. Zobaczyła pewnego razu w hallu hotelu Hilton w Atenach wyjątkowo piękna dziewczynę. Zapytała ją, czy jest aktorką. „Poniekąd" — odpowiedziała Candice. — Po ośmiu dniach prób i rozmów zaangażowałem ją. Myślę, że ma przed sobą wielką przyszłość. Posiada talent, odwagę, osobowość i jest niezwykle piękna.

O tym, dlaczego postanowił sam zaprojektować kostiumy dla swego filmu, Cacoyannis mówi:

— Odwiedziłem najpierw kilka salonów mody, ale były w owym czasie tak zaabsorbowane nowymi kolekcjami, że nie mogły mi poświęcić należytej uwagi. Pomysł papierowych kostiumów osobiście uważam za rewelacyjny. Dają świetny efekt, niemożliwy do uzyskania przy tkaninie — kolor, relief i stylizację.

— Może przynajmniej zdradziłby pan jaka jest myśl przewodnia filmu, skoro nie chce pan opowiedzieć fabuły? — pyta pani Leclerc.

— Odsłania naszą głupotę, nasz sposób biernego przyjmowania wszystkiego co się dzieje. Moim zdaniem jest to najjaskrawiej występująca cecha współczesnego człowieka. To straszne! Nie byłem w Grecji od lutego 1967, bo nie umiem żyć bez wolności słowa. A jednocześnie korzenie mojej osobowości tkwią w ojczyźnie. Nigdzie indziej nie mogę czuć się swobodnie, drogo więc kosztuje mnie moje dobrowolne wygnanie. Mogę kochać tylko grecki krajobraz, na przykład krajobraz greckich wysp. W Anglii patrząc na brązową ziemię, marzyłem o mojej wypalonej słońcem, kamienistej ojczyźnie. Nie lubię podróży, podróżuję tylko z konieczności. Nienawidzę samolotów i pociągów. Nie prowadzę nawet samochodu. Wszystko co techniczne jest mi zupełnie obce. W życiu nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Zresztą utrwalanie obrazu ludzi na kawałku papieru i noszenie ich w portfelu wydaje mi się okropne. Wolę wspomnienia.

Czym jest dla pana piękno?

Zdumiewa mnie, oszałamia. Zwłaszcza piękno fizyczne. Niektóre profile, łuki szyi itd.

Znana jest pańska bezpośredniość. Czy uważa się pan także za rzetelnego?

Jestem rzetelny, i jest to cecha, która z konieczności — oznacza pewną twardość. Kiedy kieruję aktorami nie potrafię mówić bzdur w rodzaju: „kochanie, było to świetne, ale...".

Dlaczego przepędza pan dziennikarzy? Czy to skromność, czy też odrobina kokieterii?

Uważam po prostu, że dopóki mam zdrowego ducha w zdrowym ciele, nie istnieją powody oddawania się pod skalpel chirurgom lub dziennikarzom. Jeżeli będę kiedyś schizofrenikiem, wtedy tak, być może.

Woli pan teatr czy film? Michael Cacoyannis był przez długi okres czasu aktorem w Londynie. Do jego najlepszych kreacji należy Caligula w sztuce Camusa.

Kocham i nienawidzę, jedno i drugie.

A pana plany?

Żadnych planów filmowych. W Stanach Zjednoczonych będę reżyserował w teatrze „Ifigenię w Aulidzie". Irena Papas (Elektra) będzie Klitajmnestrą. Zrobiłbym to bardzo chętnie w filmie, ale nie mogę znaleźć Ifigenii. W kwietniu będę reżyserował „Romea i Julię" w T.N.P. Cieszę się z tego ogromnie, bo nigdy jeszcze nie widziałem tej sztuki granej tak, jak ja to sobie wyobrażam. To nie jest nic w rodzaju „Ach, biedactwa! Jacy oni piękni!" To jest przede wszystkim tragedia. Tragedia romantyczna i brutalna, której bohaterowie są już od początku skazani.

Opr. T. L.

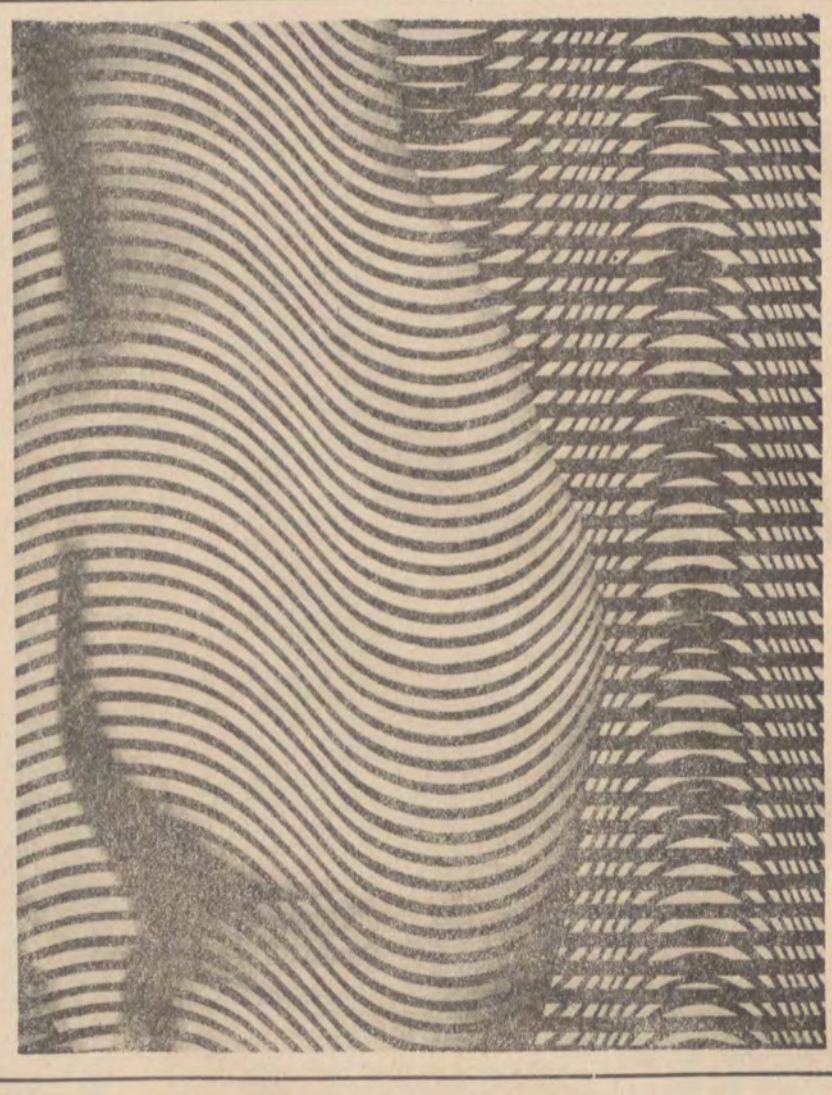

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Halka"	1	1276	100
„Pan Twardowski"	1	1276	100
„Straszny Dwór"	1	1276	100
„Rigoletto"	1	1276	100
„Dama pikowa"	1	1276	100
NOWY			
„Tkacze"	3	600	85
„Trzy białe strzały"	2	1400	100
NOWY — Mała Sala			
„Skiz"	6	1200	100
POWSZECHNY			
„Radziwiłł. Panie Kochanku"	2	1220	99
„Mocne uderzenie"	2	900	85
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	800	60
OPERETKA			
„Niedziela w Rzymie"	6	4314	65

KSIĄŻKI NADESŁANE

Bronisław Heyduk — „LEGENDY I OPOWIEŚCI O KRAKOWIE". W. Lit. cena zł 45.—

Jewgenij Wachtangow — „POSZUKIWANIA". WAiF. cena zł 30.—

Stefan Gołębiowski — „OBRAZ GŁOSU". Czytelnik, cena zł 10.—

Wojciech Witkowski — „CZEKAJĄC NA SYNA". W. Morskie, cena zł 10.—

Wiesław Brudziński — „NOWE ZMYŚLENIA". Iskry, cena zł 18.—

„W KRĘGU RODZINY I PRZYJACIÓŁ SŁOWACKIEGO". PIW cena zł 35.—

Krzysztof T. Toeplitz — „SEKRETY FILMU". WAiF. Cena zł 25.—

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Bilans współczesnej dramaturgii amerykańskiej w ogromnym procencie wypełnia twórczość Tennessee Williamsa, filmowa twórczość amerykańską lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych między innymi reprezentują liczne ekranizacje dramatów tego pisarza, dokonywane przez Elię Kazana, Richarda Brooksa, Johna Hustona, Petera Glenvilla i innych przy współudziale najwybitniejszych aktorów teatru i filmu. Sztuki T. Williamsa dają mistrzom amerykańskiego ekranu gwarancję sukcesu, aktorom zaś możliwości zaprezentowania kunsztu miary najwyższej, który w niektórych wypadkach był powtórzeniem scenicznych kreacji przed znacznie szerszym audytorium. W adaptacjach filmowych dramatów Williamsa wielkie sukcesy odnosili m. in. tacy aktorzy jak: Anna Magnani, Geraldina Page, Elizabeth Taylor, Richard Burton, Marlon Brando, Paul Newman. Nie bez przyczyny, mówiąc o ekranizacjach sztuk Williamsa wspominamy sukcesy aktorskie, są one pochodną tego, co w twórczości Williamsa najistotniejsze, rysunku psychologicznego bohaterów. Z postaci ludzkich, obrazów ich złożonej psychiki, stosunkowo najwięcej udawało się zachować w filmowych wcieleniach sztuk Williamsa. Bohaterów „Szklanej menażerii", „Nocy iguany", „Tatuowanej róży", „Tramwaju zwanego pożądaniem", „Słodkiego ptaka młodości" łączy jedno — próba szaleńczej ucieczki przed samotnością, która jednakże dopada ich wszędzie. Wszystkie te ucieczki prowadzą w ślepy zaułek, nie ma bowiem w życiu ludzkim miejsca na to, by można wyważać dobro i zło na różnych szalach. Bohaterowie Williamsa goniąc swe szczęście, szukając w innych siły dla siebie, najczęściej poszukują oparcia w sferze doznań erotycznych lub w mocy pieniądza, sami będąc słabi, gotowi są jednak niszczyć innych. W jakimkolwiek kierunku nie szedłby ich bunt, wszystkie siły zła stają im zawsze naprzeciw i w walce swej nie mają szans.

Williams miotając się między koniecznością potępienia lub wybaczenia rozkłada akcenty, przydając swym bohaterom tyleż zła co dobra, nigdy przy tym nie szczędzi szoku — okrucieństwa i brutalności. Stara się swe postacie zrozumieć, a tym samym wywołuje tyle kontrowersyjnych sądów wśród tych, którzy dostrzegają jego ambicje moralisty. Bohaterowie Williamsa, ich problemy i świat przeżyć wewnętrznych (często może wyolbrzymiony) pozostają jednak w ścisłym związku z rzeczywistością społeczną, w której przyszło im żyć. To nadaje ich sprawom rangę ogólniejszych problemów psychologicznych i socjologicznych, nurtujących społeczeństwo amerykańskie.

Tak jak Faulkner i Caldwell, T. Williams jest człowiekiem Południa W południowych stronach Stanów Zjednoczonych rozgrywa też akcję swych dramatów, szukając tam prototypów postaci i konfliktów. Tam też umiejscawia akcję sztuki „SŁODKI PTAK MŁODOŚCI", która w filmowej adaptacji Richarda Brooksa wchodzi na nasze ekrany, wyprzedzając „Noc iguany" J. Hustona.

Bohaterowie filmu Chance Wayne i starzejąca się gwiazda filmowa Alexandra Del Lago w znakomitej interpretacji Paula Newmana i Geraldiny Page uosabiają wszystkie charakterystyczne dla postaci Williamsa cechy i sprzeczności. Williams, a w ślad za nim Brooks nie pozwalają nam na jednoznaczną ocenę moralną tych postaci. Ich zło nie tkwi tylko w nich samych. Uwarunkowane jest światem, w którym się miotają, w którym rozdają razy na oślep, ale który również im ich nie szczędzi. Oboje gonią sławę, pieniądze i miłość, uciekając przed samotnością, wpadają w jej straszliwą przepaść, bo trudno się łudzić powrotem Alexandry na drogę kariery i sławy, czy przypisanym sztuce przez Brooksa „happy-endem" miłości Chance'a i Heavenly. Przerażający jest świat, o który bohaterowie tak zabiegają nie przebierając w środkach. Jest to świat, który pozwala istnieć tylko wówczas, gdy jest się wysoko, w którym nie liczą się środki działania lecz sukces, który się osiągnęło. Obraz tego świata poszerzony zostaje silnie zaakcentowanym tłem społecznym i politycznym amerykańskiej rzeczywistości. Opozycjonista Chance'a — ojciec Heavenly „Boss" Finley to bezwzględny polityk, którego karierze towarzyszą faszystowskie nastroje i gangsterskie metody działania. Na tle tej postaci i jej roli społecznej usiłowania i sposobiki Chance'a wydają się rywalizacją plotki i rekina. Niemniej, ani Williams, ani Newman, ani wreszcie Brooks nie pozwalają sobie na współczucie wobec Chance'a. Jego wybór jest sprawą jego moralności i ponosi za nią pełną odpowiedzialność, która jest zarówno obowiązkiem, jak i przywilejem każdego indywidualnego człowieczeństwa. W sztuce Williamsa przed opuszczeniem kurtyny Chance zwraca się do widzów ze słowami: „Nie proszę was o współczucie, ale tylko o zrozumienie. A nawet nie o to. Proszę, byście znaleźli w sobie — mnie, a w nas wszystkich — naszego wroga: czas". Ten czas, o którym mówi Chance jest bezimiennym bohaterem sztuki i filmu, „Słodki ptak młodości", czas każdego człowieka tak okrutnie krótki w stosunku do szansy jednego życia, które się posiada. Wprowadzając tego bohatera, okrutny i brutalny Williams kreujący świat ludzi przerażających a jednocześnie błagających o zrozumienie, staje się nieoczekiwanie moralistą. W obliczu nieodwracalnego biegu czasu stawia jako postulat generalny sprawę wyboru, nawet wówczas, gdy jest on determinowany czasem i wszystkimi narzutami ludzkiej rzeczywistości. Stąd sympatie Williamsa po stronie tych, którzy próbują buntować się czy choćby marzyć.

Niewiele w dzisiejszym spotkaniu z czytelnikami było okazji mówić o samym filmie. To doprawdy nie moja wina, iż Williams jest silniejszy niż Brooks. By sprawiedliwości stało się zadość, przyznać trzeba, iż reżyser zrobił wszystko, by pozostać wierny dramaturgowi i jego postawom. Nie zawsze równy w swej koncepcji adaptacji „Słodkiego ptaka młodości" potrafił jednak Brooks niezbyt udane partie retrospektywne wynagrodzić znakomitym prowadzeniem aktorów i reżyserią partii kameralnych zwłaszcza w scenach między Alexandrą i Chancem. Należy sądzić, że zmiana i uproszczenie zakończenia były haraczem, jaki Williams i Brooks musieli zapłacić potentatom Hollywood.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Guliwer wśród Liliputów.

KIM BYŁ JONATHAN SWIFT?

■ Wyobrażamy go sobie jako dobrego wujaszka, opowiadającego grzecznym dzieciom pogodne bajeczki o Liliputach i olbrzymach, „Podróże Guliwera", jakie znamy z czasów dzieciństwa, to jednak tylko skrót i opracowanie większej znacznie całości. W istocie zaś „Travels into Several Remote Nations of the World, in four parts, by Lemuel Gulliver" to być może najbardziej zjadliwa satyra w całej literaturze światowej.

Hamburski tygodnik „Der Spiegel" omawia biografię irlandzkiego pisarza pt. „Swift" której autorem jest Philipp Wolff-Windegg.

Swift urodził się w Dublinie w roku 1667, w osiem miesięcy po śmierci swego ojca. Dziecko wychowuje się u ekssdyplomaty, estety, publicysty i polityka sir Williama Temple, który według biografów Swifta był jego rzeczywistym ojcem. Jonathan jest następnie jego sekretarzem, a gdy ma lat 27 zostaje duchownym kościoła anglikańskiego. Jest potem wiejskim proboszczem. Poznaje i zaprzyjaźnia się z 20-letnią wówczas Hester Johnson, która nazywać będzie „Stella". Biografowie twierdzą, że była ona także córką Williama Temple. Gdy Swift wyjeżdża do Londynu, pisze stamtąd listy do swojej Stelli, informując ją szczegółowo o swych znajomościach wśród wyższej londyńskiej socjety. Tu, w Anglii Swift rzuca się w wir polityki, zbliża się do rządzących torysów, wydaje pamflety polityczne i dziełko pt. „The Tale of a Tub", które przynosi mu sławę, ale szkodzi w karierze duchownej, gdyż autor naraził się na zarzut wyśmiewania się z uczuć religijnych.

Po kilkuletnim pobycie w Londynie Jonathan Swift wraca rozgoryczony do Dublina, gdzie zostaje dziekanem katedry St. Patricka. Wkrótce też przybywa do Dublina jego znajoma, prawdopodobnie kochanka z okresu londyńskiego, piękna córka kupca, Hester Vanhomrigh, zwana przez Swifta „Vanessa". Teraz przez 9 lat Swift dzieli swe uczucia między domatorka Stellą a pełną temperamentu Vanessą. W Dublinie nadal rozwija swą działalność pisarską. Walczy piórem przeciwko wyzyskowi jaki uprawiali Anglicy w Irlandii, przeciw korupcji urzędników i posiadaczom ziemskim. Wzywa ludność Irlandii do bojkotu małowartościowej monety miedzianej zalewającej i rujnującej Irlandię. Naraża się Anglikom, ale czczą go Irlandczycy. W roku 1726 ukazuja się w Londynie drukiem „Podróże Guliwera", dzieło pisane w formie bajki ale według zamiarów autora będące zjadliwą satyrą na stosunki angielskie. Książka potraktowana jest jednak przez jednych czytelników jako bajka i przyjęta w Londynie z zachwytem. Więc jeszcze raz Swift pisze zjadliwą satyrę, w której ukazuje przerażającą nędzę Irlandczyków. Ale i ta książka potraktowana jest jako dzieło bajkopisarza.

Siedemdziesięciolecie Swifta mieszkańcy Dublina uczcili wystrzałami z moździerzy. W ich oczach jest on bohaterem narodowym. A starzejący się Swift samotny po stracie Stelli, a potem Vanessy, dziwaczeje. Gdy zbliża się śmierć jest rozgoryczonym starcem, który, jak pisze Wolff-Windegg, miał jedynie złe myśli, złe słowa, złe pragnienia. Umiera w r. 1745. W testamencie zapisał 12 000 funtów na cel budowy nowego szpitala dla umysłowo chorych.

Jonathan Swift

SKRADZIONA MUZYKA

■ Pod takim tytułem „Litieraturnaja Gazieta" informuje o losach archiwum słynnego kompozytora węgierskiego Beli Bartoka. Kompozytor w roku 1940 opuścił Węgry, udając się na emigrację do Stanów Zjednoczonych. W końcu 1942 roku pisał z Nowego Jorku: „Nigdy nie myślałem, że taki będzie koniec mojej drogi życiowej... Moja kariera jako kompozytora można rzec, skończyła się. Coś w rodzaju bojkotu... a takie ustosunkowanie się do moich dzieł przedłuża się".

Niedługo przed śmiercią kompozytora pojawił się u niego niejaki Wiktor Bator, były węgierski prawnik, nowojorski milioner. Do niego to zwrócił się Bela Bartok z prośbą o pieczę nad swym archiwum. Kompozytor nie przypuszczał, że Bator przywłaszczy sobie to co winno należeć do Węgier i narodu węgierskiego.

Kilka lat temu wdowa po kompozytorze i jego starszy syn wysłali z Budapesztu do sądu nowojorskiego skargę, domagając się wydania skradzionego archiwum. Sądy jednak do tej pory, mimo wszelkich starań, mimo wytoczenia sprawy przeciwko Batorowi przez synów kompozytora (jeden z nich mieszka na Węgrzech, drugi w Stanach Zjednoczonych) wciąż nie wydają wyroku nakazującego zwrot rękopisów muzycznych.

„Dzieła Bartoka, jego archiwum, stanowiące nieodłączną część kulturalnego bogactwa Węgier — pisze „Litieraturnaja Gazieta" — winny być zwrócone temu do kogo należą — węgierskiemu narodowi".

NAGRODA DLA HENRY MOORE'A

■ Holenderską nagrodę im. Erazma w wysokości 100 000 guldenów otrzymał w styczniu br. 69-letni angielski rzeźbiarz Henry Moore. Nagroda zostanie wręczona laureatowi na otwarciu w dniu 3 maja br. wielkiej wystawy Henry Moore'a która odbędzie się w Arnhem.

TELEWIZJA W TURCJI

■ W najbliższym czasie w Turcji zostanie wprowadzona własna telewizja. Pierwszy nadajnik zostanie zainstalowany w Ankarze. Jego zasięg obejmuje się na 80 km. W ciągu lat piętnastu cały kraj ma być objęty zasięgiem nadajników telewizyjnych.

Dotąd mimo że Turcja nie posiadała telewizji, w kraju czynnych było siedem tysięcy odbiorników, gdyż mieszkańcy obszarów nadgranicznych odbierają programy z Syrii, Cypru, Bułgarii i Rumunii.

INDYJSKA KINEMATOGRAFIA

■ Pomimo pewnego niewielkiego spadku ilościowego kinematografia w Indii nadal pod względem ilości wyprodukowanych filmów utrzymuje się na trzecim miejscu w światowej produkcji filmowej. Według danych statystycznych indyjskiego Ministerstwa Informacji w roku 1967 w studiach filmowych w Bombaju, Kalkucie i Madrasie wyprodukowano 310 filmów długometrażowych tj. o 20 filmów mniej niż w roku 1966.

RĘKOPIS JAMES JOYCE'A O MIŁOŚCI

■ Nieznany rękopis James Joyce'a, będący w posiadaniu pewnego kolekcjonera z Nowego Jorku, zostanie opublikowany w styczniu przyszłego roku.

Rękopis ten, którego temat oparty jest na elementach autobiograficznych liczy szesnaście stron, poeta napisał około 1920 roku i podpisał „Giacomo Joyce". Jest to opowieść wyrażająca miłość do młodej dziewczyny poznanej w Trieście w roku 1914.

KINETYZM — SOJUSZ SZTUKI Z NAUKĄ

■ „Związek sztuki z nauką wzbogacił wspaniale świat piękna. Nie wyobrażamy sobie już współczesnego świata bez kina, radia, telewizji, elektronowych muzycznych instrumentów. Co zapowiada nam ten związek w przyszłości? Trudno powiedzieć. W każdym razie można sobie wyobrazić: Nad obszarem miasta wznosi się niezwykła konstrukcja z mas plastycznych. Błyszczy w łunach światła, które wiruje, wybucha różnokolorowymi ogniami, unosi się w rytmie muzyki. W pobliżu owej konstrukcji owiewa nas przyjemny wiaterek niosący to zapach sosnowego lasu, to aromaty kwietnych łąk".

Cytujemy za radzieckim dwutygodnikiem „Smiena" który w jednym z ostatnich numerów poświęcił sporo miejsca omówieniu zagadnienia kinetyzmu. „Co to jest kinetyzm? Jest to jeden z kierunków wynikający z dążenia, aby stworzyć nowe środki artystycznego wyrazu, żeby głębiej wniknąć w treść naszych czasów i w istotę człowieka" — czytamy w „Smienie". „Różne rodzaje sztuki pochodzą ze wspólnego źródła — człowiek i otaczający go świat — po nieskończonych ilościach ewolucji dążą do jedności, gdyż w tej jedności dopełniają się i pogłębiają wzajemnie".

Z artykułu w „Smienie" dowiadujemy się o ciekawych próbach leningradzkiego kolektywu „Dwiżenie" (Ruch), który zajmuje się od pięciu lat budowaniem ruchomych konstrukcji przestrzennych, łącząc w swych dziełach osiągnięcia i najnowsze zdobycze nauki ze sztuką.

Kolektyw „Dwiżenie" wykonał szereg efektownych dekoracji pełnych ruchu i światła w Leningradzie dla uczczenia 50-tej rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Członkowie kolektywu „Dwiżenie" przy pracy.

BEZ STRACHU

LILI FONTELLO

Przed laty do pokoju, w którym pracowałem, wszedł gruby człowiek, położył rękę na sercu i począł śpiewać. Słuchałem początkowo zupełnie zaskoczony — potem uciszałem go gestami, a on w odpowiedzi na to wzmógł siłę głosu i śpiewał jeszcze głośno i długo. Był to Lili Fontello — człowiek metrykalnie dorosły o twarzy, umyśle i uczuciowości małego dziecka. Przysłał go do mnie jakiś dowcipniś sugerując, że to ja zdolny jestem zaangażować go do opery. Po tym wielkim śpiewie Lili Fontello usiadł w biurze na krzesełku i począł na przemian mówić i płakać. Mówił, że chce zostać prawdziwym śpiewakiem — dotychczas śpiewał tylko w kawiarniach, mówił, że jest dobry i że kocha swoją mamusię... Oczywiście nic nie mogłem dla niego zrobić — nic nie można było dla niego zrobić. Lili Fontello zmarł przed kilku laty i należy mu się jakiś ciepły okruch pamięci. Widzieliście Lili Fontella, jak w cyrku przed spektaklem — bawił się z lwem wsuwając łopatę do klatki. Oglądałem tę scenę — myślę, że Jego całe krótkie życie było zabawą z lwem. Był istotnie dobry, nie wiedział, że ludzie bywają okrutni, wierzył bezgranicznie we wszystko co mu mówiono i wmawiano. Lili Fontello w kawiarni śpiewający i zbierający kapeluszem honoraria. Lili Fontello najciekawszy — przychodzi do kawiarni i nie śpiewa — zapowiada, że tym razem wystąpi jako iluzjonista. Siada przy stoliku przy szklance wody, w zębach trzyma zapalonego papierosa — w ogólnym milczeniu zaciąga się dymem i zatrzymując dym w płucach popija wodą ze szklanki — następnie odstawia szklankę i wypuszcza dym. W ciągle trwającej ciszy mówi: „Tak, to było wielkie". Oczywiście, każdy kto chce, potrafi to zrobić. Była to zatem sztuczka pozorna, osobliwa i prosta parodia popisu iluzjonisty. Czy śpiew Jego był także pozorny, czy było to tylko udawanie prawdziwego śpiewu „Tego co jest wielkie"? Byli tacy, którzy zabawiali się Jego kosztem — upijali go wysłuchiwali płaczliwych skarg i pragnień — obiecywali mu pomoc w spełnieniu marzeń. Wierzył im naiwnie i żarliwie, dziękował zawczasu, mówił o swojej wielkiej miłości do sztuki... Ten „iluzjonista" miał bardzo niezręczne ręce — nie potrafił w nich utrzymać kieliszka — wylewał wino i tłukł szkło i płakał przepraszając za to co zrobił. Ten „śpiewak" nie potrafił zupełnie panować nad głosem. Ten „aktor" otwierał się i dawał każdemu pełną wizję własnego wnętrza. On, który wyrywał się w czasie festynów, wbiegał na estrady i chwytał za mikrofon chcąc panować głosem nad siedmioma tysiącami ludzi, słuchał każdego i wszystkim podlegał. Nie można było mu pomóc — był na to zbyt dziecinny, nie można było mu pomóc — był nietypowy, unikalny. Nie można było mu pomóc — zbyt łatwo podlegał wzruszeniom, nie panował nad sobą. Nie można było mu pomóc — za bardzo różnił się od nas. Nie można było mu pomóc — do sztuki każdy sam się zbliża lub oddala. I teraz nie potrafię napisać o nim trenu, tylko maleńki felieton. Nie można pomóc w utrwaleniu pamięci człowieka, który dziecinnie kochał sztukę. „To co jest wielkie". A przecież zbierał oklaski i był wygwizdywany, wzbudzał śmiech, był na ustach wszystkich. Lili Fontello był osobliwy, różny od innych ludzi, był dziecinny, nadmiernie uczuciowy. Ze zdziwieniem przyglądam się własnym słowom — wyliczyłem przecież artybuty artysty — unikalność i dziecinność osobowości... i jeszcze jedno najprawdziwsze zdanie o Nim — Lili Fontello kochał ludzi, Lili Fontello był dobry.

BERNARD SZTAJNERT.

ANTONI SZRAM

Minister na wystawie...

(Kartki z wystawy)

Coś jakby rusza u nas w dziedzinie upowszechniania plastyki. Z ogromnym szumem otwierało się w roku 1967 wystawy w Muzeum Sztuki. Regularnie miały miejsce ekspozycje: Biura Wystaw Artystycznych Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego, Muzeum Włókiennictwa, czy pokazy (gdzie się dało) Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. 14—16 listopada minionego roku CBWA zorganizowało w Sopocie naradę kierowników terenowych biur wystaw artystycznych, zaś 22 listopada odbyło się w Warszawie na Foksal 3/5 zebranie konstytucyjne organizującej się sekcji krytyki upowszechniania plastyki przy Klubie Publicystów Polityki Kulturalnej SDP. Jeszcze przypomnę — IX Biennale w Sao Paulo (wyróżnienie jedną z dziesięciu równorzędnych nagród Tadeusza Kantora za cykl ambalaży), V Biennale Młodych w Paryżu i oczywiście, III Złote Grono w Zielonej Górze oraz wiele, wiele innych ważnych wydarzeń artystycznych. Aż dziw bierze — rok 1967 należał do osobliwych, bogatych w konflikty i ekspozycje.

Tak sobie podsumowuję rok i — analizując grunt lokalny — dochodzę do wniosków raczej zaskakujących: jedynie wernisaże w Muzeum Sztuki zdolne są wywołać żywsze zainteresowanie sztukami plastycznymi wśród mieszkańców naszego miasta. Dlaczego? O problemach łódzkiego wystawiennictwa szeroko dyskutowano na łamach „Odgłosów" (nr 48-462), zgłoszono szereg wątpliwości co do stosowanych przez organizatorów ambicji i kryteriów przy selekcji wystaw, wytknięto bierność krytyki plastycznej, apelowano o budowę galerii...

Myślę o naszym podwórku i dochodzę do jeszcze innego wniosku. Tak właśnie od dawna rozumują łódzcy działacze plastyczni, opozycyjnie wobec istniejącej sytuacji nastawieni, ale ich krzyk, wołanie, że brak tego, czy owego stał się tak monotonny, że zakrzepł w sloganie.

Asystuję prawie każdej wystawie, cierpieniom artysty plastyka — człowieka, który zagubił się gdzieś w przemysłowej Łodzi. Czyżby właśnie o nim wszyscy zapomnieli? nikt o dziełach jego rąk nie pisze, ogólna cisza? Figiel losu, czy złe fatum popełniające — nietakt? Tylko zaciąć wargi i czekać.... Ile jeszcze? Rok? Dwa? Nie wiem!...

Wiem zaś, że nie tylko w braku galerii, nie w braku publicystyki plastycznej, nie w braku ciekawych indywidualności... ale przede wszystkim w tradycyjnym **lekceważeniu prawideł organizacji wystaw premierowych** leży główne źródło słabości zainteresowania się współczesną plastyką na terenie Łodzi.

Tam, gdzie otwarcie wystawy — jak w przypadku Muzeum Sztuki — odbywa się w obecności wybitnych gości ze stolicy, z samego Ministerstwa, płynie wtedy również struga lokalnych osobistości ze świata artystycznego, tłum, o jakim się dyrektorowi BWA czy prezesowi TPSP nie śniło!

Wszystkie pozostałe wernisaże są przeważnie do siebie podobne (ciche i spokojne), są przysłowiowym głosem wołającego na puszczy. Cóż! Zawsze w końcu można je policzyć, powołać się na ilość. Cała tajemnica łódzkiego wystawiennictwa — jak sądzę — polega przede wszystkim na tworzeniu propagandy, mitu wokół przygotowywanej wystawy (w ramach kosztów za inwestowanych w wernisaż). Potem wcale sprawnie można by zmontować konferencję prasową — i z Wrocławia „ktoś" przyjedzie, z Krakowa, z Poznania czy nawet z Warszawy... Później: sążniste artykuły i polemiki z całego serca. Mnożą się płaszczyzny porozumienia, przebiega dyskusja i trwa... Siła sugestii jest tak wielka, że mało kto pamięta o fakcie, czyją wystawę właściwie oglądał i dla czego. Potulny — wrzeszczy i omdlewa z zachwytu.

Tylko Muzeum Sztuki zna siłę reklamy i prawidłowo swoje wystawy organizuje.

Rzecz to ciekawa, jak się nad tym dobrze zastanowić, wtedy poczucie prowincjonalizmu życia artystycznego okazuje się złudne.

JOHN MORTIMER

HOLLYWOOD oczyma Anglika

(Wrażenia angielskiego pisarza i dramaturga)

Do miasta snów należy dziś murzyńskie przedmieście Watts i były aktor Ronald Reagan, który z westernow przyewalował prosto do pałacu gubernatorskiego. Jest to miasto aktualnych konfliktów, sny się nie pojawiają tu tylko na celuloidzie, ale i w nasyconych LSD kostkach cukru, które można kupić w każdym bufecie. Wydaje się, że w starym, pogrążonym w głębokim śnie Hollywoodzie, zaczyna się coś ruszać.

* * *

Poprzednie oderwanie Hollywoodu od świata było rezultatem jego położenia geograficznego. Nie mogła panować normalna atmosfera na tej ziemi obiecanej, na której ongiś trzej starozakonni prorocy Jesse Lasky, Sam Goldwyn i Cecil B. de Mille schronili się przed tyranią trustu Eastern Film, zakładając wśród pustyni własne atelier w pustej stodole na rogu Selma Vide Street.

Broniła ich rozległa pustynia i morze; słońce świeciło jasno przez dziewięć miesięcy w roku, pomarańcze spadały z drzew na kolana tak łatwo jak zafascynowane filmem dziewczyny z barowych krzeseł w drugstorze Schwaba. Kiedy człowiek leci nad Wielkim Kanionem, ponad pustyniami i górami, gdzie bandy Apaczów czaiły się na przejeżdżające dyliżanse, widzi całą urodę tego kraju. Daleko na południu jest granica meksykańska, na północ morze. Big Sur i autostrada do San Francisco. „Dlaczego miałbym wyjeżdżać do Hiszpanii czy bóg wie dokąd" — mówi mój sąsiad w samolocie... Tutaj mamy przecież wszystko!"

Znalazłem się w Hollywood — ja, angielski autor, mający adaptować dla filmu XIX-wieczną farsę francuską.

„Think 20th!" — Albo coś w rodzaju „Myśl w duchu 20th Century — Fox!" Napis na budynku firmy produkcyjnej jest duży, większy od reklamy zakładu pogrzebowego naprzeciwko. Zamknąłem oczy, starałem się ze wszystkich sił, ale nie przychodziła mi do głowy żadna myśl, w duchu 20th Century — Fox.

Poszedłem do mojej sekretarki, żeby jej podyktować scenariusz według komedii Feydeau. Była to kobieta o siwych włosach i jeżeli się nie mylę, należała do sekty mormonów. Przez cały czas, kiedy dyktowałem, ani razu się nie uśmiechnęła. Kiedy skończyliśmy, zapytała: „Pan jest Francuzem, prawda?" „Dlaczego pani tak myśli?" „No, to się rzuca od razu w oczy, pan ma taki dziwny akcent..." Nie zdziwiłem się wcale, Anglia i Francja są tak daleko za wielką pustynią, że zlewają się w jedno.

Minęły już czasy terroru wobec scenarzystów, kiedy to Louis B. Mayer najpierw ich lżył, a potem trzymał w odosobnieniu, kiedy to doprowadzono Scotta Fitzgeralda do nałogowego alkoholizmu, a Aldousa Huxley'a do meskaliny. Mój producent, uprzejmy i ogromnie tolerancyjny pan, nie miał nic przeciwko temu abym spędzał czas sam na sam z Feydeau na basenie hotelu Beverly Hills. Jeden scenarzysta hollywoodzki jeździ nawet do Doliny Śmierci i tam pracuje w swoim lincolnie ze stuprocentową klimatyzacją, aby zademonstrować w ten sposób swoją absolutną niezależność od telefonu producenta.

Ale kiedy chwilami było mi smutno, chodziłem do wytwórni i sprawdzałem, czy mój scenariusz potrafi wywołać uśmiech na twarzy mormonki. Albo odwiedzałem dwóch postępowych scenarzystów. Obaj pracowali w kooprodukcji i we wszystkim się wzajemnie zgadzali — do tego stopnia, że często jeden przerywał w pół zdania drugiemu i doprowadzał jego myśl do końca. „W Berkeley można teraz zobaczyć dużo ładnych studentek. Są młode, zdrowe, dobrze zbudowane. Ale wcale nie interesują się polityką. I jeszcze dziwniejsze jest..." i drugi scenarzysta dokończył zdanie przyjaciela z bólem w głosie „...nie interesują się również i sexem".

Minęły czasy czarnych list. W powietrzu nie unosi się teraz strach jak podczas mojej pierwszej wizyty. Moi dwaj postępowi scenarzyści wątpliwie raczej w to, żeby ktoś mógł otrzymać pieniądze za film przeciwko wojnie w Wietnamie, ale podobno stale zgłaszane są propozycje w tej sprawie. Minęły również czasy taśmowej produkcji, kiedy scenarzysta miał zapewniony etat, pisał scenariusze, których już nigdy nie miał zobaczyć od momentu gdy otrzymał je reżyser. A reżyser kręcił filmy i nigdy ich nie widział od chwili, gdy znikały w montażowni. Teraz wszyscy skaczą koło scenarzystów i traktują ich jak prawdziwych artystów — przynajmniej do chwili podpisania kontraktu. „Ci młodzi producenci gadają ciągle o Godardzie, ale tylko do czasu, dopóki nie wyrazimy ochoty napisania dla nich scenariusza" — powiedział jeden z dwójki postępowych scenarzystów. „W chwili rozpoczęcia pracy nie pada już nawet słówko o Godardzie" — dokończył drugi.

Na Stripie, najruchliwszej części Sunset Bouleward, każdy bez różnicy wieku może znaleźć coś dla siebie. Tym najstarszym reklamowy afisz przedsiębiorstwa pogrzebowego przypomina, że „Forest Laws załatwi za was wszystko". Dla mężczyzn w średnim wieku, ceniących „zdrową" rozrywkę, proponuje się tam The Largo, The Body Shop i lokal z lakonicznym afiszem: „Na górze bez. Nagie. Bez welonu. Lunch. Dinner. Na dole bez". Dla młodzieży w Galaxy i w Whisky & Gogo, angielskie beat-orkiestry urządzają tak piekielny hałas, że do rozmowy potrzebny jest notatnik i ołówek.

Jest tam także Trip, gdzie występują uczniowie Andy Warhola przy akompaniamencie sadystyczno-masochistycznych filmów wyświetlanych na ścianie i smutnego śpiewu blondynki Nico. A Filmoteka 16, środowisko „podziemnych" filmowców, stara się zdobyć zaufanie hasłami „Żadnych wykładów o awangardzie", „Nienawidzimy sztuki" itd. Poznałem jednego aktora, u którego w mieszkaniu usadowił się pewnego razu „podziemny" filmowiec Andy Warhol wraz z tuzinem swoich przyjaciół. „Było to coś okropnego", opowiadał mi: „gdziekolwiek się ruszyłem, szedł za mną wszędzie i filmował — w ubikacji, na górnym piętrze, kiedy szedłem po papierosy, do kuchni, gdzie chciałem ugotować sobie zupę, wszędzie. Tak mnie to zdenerwowało, że w końcu uciekłem z Nico do planetarium na drugim końcu miasta, ale ledwośmy tam przyjechali, zaraz usłyszałem: „Proszę, idźcie jeszcze raz po tych schodach ale wolniej!" Był to Andy i znowu mnie filmował.

Podziemne filmy są czasami nawet zabawne. Niektóre z nich — jak choćby ten który pokazuje opadające liście i nagie ciała przy akompaniamencie muzyki Scriabina — mają podobną wartość artystyczną, co stare obrazy w Royal Academy. Inne natomiast dowodzą tylko tego, że dokładna rejestracja życia może być równie nudna jak samo życie. Ale i tak w Filmotece 16 pełno jest młodych ludzi i filmy tam wyświetlane stanowią w każdym razie jeszcze jedną próbę zerwania ze starym Hollywoodem.

Przeszłość jest oczywiście wszędzie obecna. W stacjach benzynowych możecie kupić sobie plan miasta, na którym zaznaczone są bajkowe rezydencje gwiazd i dziś jeszcze znajdziemy tam adres Rudolfa Valentino (2 Bella Drive, Beverly Hills), Jean Harlow albo C. Aubry'ego Smitha. Jak nam zdradził pewien agent, w kamienicy 1168 Cold Water Cannyon, Frank Sinatra żyje nadal jeszcze niczym wschodni potentat. Pojechałem do kanionu Topango, wysoko w górach. Góry są tu podobne do włoskich, kamienice są z drzewa otynkowanego maltą i stoją niebezpiecznie blisko przy szosie: „Kiedyś miałam wyjątkowo niemiły przypadek", opowiadała dziewczyna, mieszkająca w jednym z tych domków. „Dwie dziewczyny, musiały być porządnie zalane, wjechały mi buickiem do pokoju sypialnego. Od tej pory mam w domu dość duży przewiew!"

„Nie ma pan ochoty na cannabisę?", zapytał mnie jeden ze scenarzystów. „Świetny gatunek, rośnie na Popocatepelu. Na pewno był pan już w tym lokalu, do którego chodzą ludzie, którzy połykają LSD i palą marihuanę? A czy pan wie, co teraz zaczyna zażywać młodzież? Środki hamujące! Chcą być deprymowani! Ale ja już z nimi dalej nie idę. Pierwszy raz wydaje mi się, że między mną i młodzieżą zarysowuje się przepaść".

Woda w basenie była letnia i jedna młoda, bardzo ładna dziewczyna zapytała mnie, czy nie interesuje mnie produkcja filmowa, i to w Izraelu. Ale ja wolę polecieć przez szeroką pustynię do domu, do Anglii, gdzie wszystko jest szare i trochę zamglone i gdzie, w momencie, kiedy otworzę usta, jako tako wykształcony człowiek pozna, że nie jestem Francuzem.

Opr. T.Z.

Lewym okiem

SMIESZNIE, CHOĆ NIEWESOŁO

Dziesiątki, jeśli nie setki satyryków i humorystów głowią się dnie i noce, co by tu jeszcze wymyślić, żeby było śmiesznie. Tysiące handlowców na różnych szczeblach łamią sobie mózgownice przez miesiące i lata, co by tu jeszcze wymyślić; żeby ludziom było wygodniej, przyjemniej, bardziej w duchu epoki. Satyrykom czasem się coś śmiesznego udaje. Handlowcom też. Przynajmniej jest weselej, skoro nie może być wygodniej.

Na całym świecie handel wysila się, żeby klient kupując towar wysilał się jak najmniej. W sklepie z obuwiem sadza się gościa na fotelu, włącza cichą muzyczkę, a dwie panienki w mini spódniczkach tańczą koło niego z bucikami, łyżkami, prawidełkami. U nas w analogicznych sklepach wprowadza się samoobsługę. Jako szczyt nowoczesności i wychodzenia naprzeciw. Nie zmniejsza to liczby personelu, bo ktoś musi czujnie patrzeć na ręce i nogi klientów, za to zmniejsza pracę personelu. Zresztą u nas się obuwia nie mierzy. Każdy musi wiedzieć raz na zawsze, jaki ma numer stóp, jaką tęgość w biuście, szerokość ramion, rozstaw oczu, obwód czaszki. I tak żaden z tych numerów nigdy do niczego nie będzie pasował.

W wielu krajach można wstąpić do kwiaciarni i poprosić o doręczenie siedmiu pąsowych róż w mieście na drugim końcu Europy. Nasze kwiaciarnie też włączyły się odpowiednim aktem prawnym w ten dżentelmeński system. I też pewien pan w Berlinie zamówił kwiaty dla pewnej pani we Wrocławiu, tylko że zamiast kwiatów solenizantka otrzymała druczek. Pełen ubolewań. Że nie zdążono w porę, trudno, siła wyższa. Solenizantka chciała mieć róże nawet nie w porę, mówiła, że to nic, sama chodziła do sklepu parę razy. Nic z tego! Nie załatwiono w terminie, zwrócimy koszty nadawcy — oczywiście po wypełnieniu kilkuset formularzy — a panią przecież przeprosiliśmy...

Są też instytucje, ułatwiające wysyłkę upominków za granicę. Płyta długogrająca kosztuje osiemdziesiąt złotych, koszt jej wysyłki — dajmy na to do Francji — około czterdziestu. Razem sto dwadzieścia. Ale można napisać do Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną, które w prasie poleca swoje usługi. Już po dwóch miesiącach (mam dowody, spokojna głowa!) otrzymuje się zawiadomienie, że owszem, proszę bardzo, przyślij pan dwieście czterdzieści złotych i adres, a co do płyt to mamy tylko występy „Śląska" i Mazurki Szopena. Polecamy się!

Mamy też zupełnie pionierską rzecz — Dom Sprzedaży Wysyłkowej, krzyk nowoczesności, superwygoda. Ogląda się piękny, kolorowy katalog z pikantnymi zdjęciami, wypełnia druczek i czeka. Gdzie się ogląda ten katalog? Tego to już nikt nie wie. Podobno w każdym urzędzie pocztowym kraju, ale mi się to nie potwierdziło ani w Cieplicach, ani w Zakopanem, ani w Poznaniu. O katalogach szepczą znajomi znajomym, przekazują sobie z rączki do rączki jak zaczytane egzemplarze „Trędowatej". Znacznie prościej i szybciej i wygodniej wsiąść w pociąg, podjechać do miasta, pochodzić parę godzin po sklepach i wybrać coś żywcem, nie na podstawie malowanki. Tyle, że jakoś nienowocześnie...

Błyszczące niklem pralnie — giganty, błyskawiczne, momentalne — piorą bieliznę rzeczywiście szybko, ale najpierw trzeba tam iść, postać dwie godziny w kolejce, usłyszeć że na dzisiaj koniec przyjęć, iść jeszcze raz, potem jeszcze raz, a potem zapłacić znacznie drożej niż starej babinie, która sama po bieliznę do domu przyjdzie, sama ją za pięć dni odniesie, a jeszcze pięknie wykrochmali, wyprasuje i wycacka. I nie pomyli. Czytaliśmy wprawdzie kiedyś, że praca ludzka jest najdroższa, i że mechanizacja usług obniży znacznie ich koszt, podnosząc jakość. Jakoś mi się to jednak nie sprawdziło ani w Łodzi, ani w Krakowie, ani w Warszawie.

Ten łańcuszek przykładów mógłbym wydłużać jeszcze i wydłużać: handlowcy myślą. Bodajże nawet myślą za satyryków, w ich imieniu i na ich niewątpliwy profit.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam 245. I. 1968. P-19.